

VariArt

pismo kulturalno-literackie
nr 4/2014 (25)


WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA
PUBLICZNA w OLSZTYNIE
www.wbp.olsztyn.pl



KULTURA SIĘ RUSZA

ISSN 2080-1483

Anna Rau

FOTOMONTER OSTATNI

Jestem niczym kanarek w kopalni. Czuję TO – i szepczę, bo bardzo się boję.

*Smagam, posłuchu wymagam,
Byście pierzchły,
Wraz odeszły
Niewiedzonego człeka,
Byście uszły w trwodze,
Zalęknione srodze,
Napominam was,
Zmory,
Upiory,
Wieszczycze,
Dzicy Mężę,
Latawice,
Pokuśniki,
Wiły,
Śnice,
Idźcie w otchłanie,
Gdzie macie mieszkanie...**

Tak, boję się.

Urodziłam się w Wielki Piątek o zmroku, posiadam więc dar trzeciego oka. Odkąd też pamiętam, moja babcia mówiła: „Wielki Piątek przyzwyczajają do życiowego smutku, ale i dają dar leczenia bólu ducha u innych”... Wszystko to niestety prawda – i wcale nie czuję się dzięki temu uprzywilejowana. Ale widocznie tak musiało być.

Od pewnego czasu czuję to: zbliża się coś złego. Wejdzcie – i nic już nie będzie tak samo, jak kiedyś. Boję się.

Rozsypałam sól na progu domu. Złe progu nie przekroczy.

Położyłam nożyk ostrzem do szyby. Złe przez okno nie wejdzcie.

Powiesiłam w kątach pęki orlicy, rozmarynu, białej szałwi i majeranku. Złe powietrza nie skazi.

Ustawiłam świece na oknach. Złe przez okno nie zajrzy.

Powiesiłam nad oknami srebrne dzwonki powietrzne, zapalam nocą stłumione światła. Zło potrzebuje ciemności i ciszy – teraz się nie skupi, nie przejrzy i nie uderzy.

Obserwuję też stale swego kota, który jak wszystkie zwierzęta widzi niewidzialne. Ale boję się...

W niedzielę odwiedził mnie przyjaciel. Wpuściłam go – w niedzielę złe nie wchodzi. Na moment mnie zostawił, ja robiłam herbatę. Ale chwila... – dlaczego ostrze noża już nie celuje w okno?...

Zawołałam przyjaciela po imieniu. Ale to, co wróciło, to już nie był on.

* Tekst egzorcyzmu z XIII w.



Budynek przy LO nr 3 w Olsztynie, 1992 r.
Fot. Krzysztof Skłodowski (fot. ze zbiorów WBP w Olsztynie)

Wydawca:

Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Olsztynie
10-117 Olsztyn, ul. 1 Maja 5; tel. 89 524 90 32; e-mail: wbp@wbp.olsztyn.pl

Współwydawca:

Warmińsko-Mazurskie Stowarzyszenie ARESZT SZTUKI
www.aresztsztuki.republika.pl; e-mail: aresztsztuki@gmail.com

Zespół redakcyjny: Sylwia Białecka, Iwona Bolińska-Walendzik, Anna Rau,
Anita Romulewicz, Agata Zaręba-Jankowska
e-mail: variart@wbp.olsztyn.pl

Grafika: Iwona Bolińska-Walendzik

Druk: „Gutgraf” Zakład Poligraficzny Marian Świniarski Olsztyn

ISSN 2080-1483

Zrealizowano przy współudziale finansowym
Samorządu Województwa Warmińsko-Mazurskiego



02	Fotomonter XXIV
04	Wywiad → Olsztyński Wehikuł Czasu
06	Poezja → Vadim Mesyats
08	Proza → Andrzej Piedzewicz
10	Proza → Bobby B. Barlow
10	Szklana pułapka → Barański & Burniewicz
11	Poezja → Andrzej Cieślak → Bożena Krackowska → Arkadiusz „Skor” Szordykowski
12	Anna Rau → Panna Wyzuta
14	Recenzje literackie
16	Galeria VariArt-u → Krzysztof Tanajewski
18	Literackie spotkania z Borussią
20	Elżbieta Zakrzewska → Obrazki działdowskie
24	Stanisław Czachorowski → Kij w mrowisko
25	Wizytówka → Planeta 11
26	Olsztyński Literacki Miesięcznik Mówiony
27	Proza → Hanna Brakoniecka
28	Alicja Tupieka-Buszmak → Missa Universitas
29	Tramwaj zwany promowaniem
30	Muzyka zatacza krąg, czyli CircleSongs 2014
31	Rafał Radzymiński → Klasyki i inne wybryki

*Para buch! Koła w ruch!
Ruszyła kulturalna maszyna. I to nie jedna.
Z peronu pierwszego odchodzi Olsztyński Wehikuł Czasu
kierowany przez Marka Jarmołowicza i Andrzeja Korytko.
Zgodnie z rozkładem jazdy w trasę wyrusza też Olsztyński
Literacki Miesięcznik Mówiony, a o tym, że kultura lubi
ruch, niezależnie od środków transportu, przekonuje
Sylvia Biatecka. Czas w podróży umilać będą poeci
i prozaicy: Andrzej Piedzewicz, Hanna Brakoniecka
i Bobby B. Barlow., Andrzej Cieślak, Vadim Mesyats,
Arkadiusz Sordykowski. Na liście pasażerów kulturalnego
pojazdu znaleźli się: Kornelia Kurowska, wysiadająca na stacji
Dom Mendelssohna – Miejsce na Literaturę, Anna Rau,
z rezerwacją do Chwałęcina, Elżbieta Zakrzewska,
Działdowianka z bagażem podręcznym i Stanisław
Czacharowski, z najlepszym widokiem na niedawnych i no-
wych przybyszów. Sygnał do odjazdu dadzą: solo – Missa
Universitas i chóralnie – CircleSongs 2014. Ważne bilety
sprawdzą natomiast recenzentki – Agata Zaręba
i Anita Romulewicz. O plastyczny komfort w kulturalnej po-
dróży zadbał prawdziwi pasjonaci czterech kółek – Krzysztof
Tanajewski, Tadeusz Burniewicz i Rafał Radzymiński.*

*Pasy zapięte?
Komu w drogę, temu... VariArt*

SPROSTOWANIE

*W numerze 03/2014 na ostatniej stronie okładki zaprezentowaliśmy fotografie projektu „Kłobuki z Purdy”. Nie zamieściliśmy wówczas nazwiska autora zdjęć, którym jest **Rafał Idczak**. Przepraszamy*

Olsztyńskie podróże w czasie, czyli jak wehikuł promuje historię

Kto jest konstruktorem Olsztyńskiego Wehikułu Czasu?

Marek Jarmołowicz: Nie jest to żadną tajemnicą, że wehikuł skonstruowali do spółki Albert Einstein i Thomas Edison. To możemy chyba zdradzić. I to była bardzo nietypowa operacja, która trwała długie lata, ale za pośrednictwem tej możliwości, jaką są bramy czasu, stało się to możliwe.

Andrzej Korytko: Skłodowska-Curie też maczała w tym palce, żeby wehikuł miał odpowiedni podmuch w locie.

MJ: Ona właśnie łała paliwo pierwsza, paliwo specyficzne, stąd też prowadzący obecnie cały czas emanują jakimś nietypowym promieniowaniem... A tak poważnie? My jesteśmy konstruktorem wehikułu: Andrzej Korytko...

AK: ...i Marek Jarmołowicz.

MJ: Możemy dodać tylko tyle, że każdy z nas układa trochę inny fundament pod konstrukcję Olsztyńskiego Wehikułu Czasu. Andrzej zajmuje się kwestiami administracyjnymi – jako prezes olsztyńskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Historycznego – a ja jestem producentem, czyli organizuję to, co dotyczy programu i audycji.

Skąd startuje i dokąd zmierza Olsztyński Wehikuł Czasu?

MJ: Wiemy, że stąd do Horteksu i z powrotem (śmiech).

AK: Dokładnie – nie wybiegamy poza Olsztyn. A tak poważnie – ja myślę, że przede wszystkim z naszych myśli. Z moich myśli do Marka, z Marka do moich. A tak już całkiem poważnie: Wehikuł zmierza

w przeszłość – przeszłość jest dla nas najważniejsza – chociaż udajemy się również w przyszłość, bawimy się w futurologię.

MJ: Trudno powiedzieć, dokąd dokładnie zmierza Olsztyński Wehikuł Czasu. Zawsze w przeszłość i ważne, żeby to była podróż ciekawa.

AK: Przede wszystkim zmierza ku prawdzie. Podróżując z Wehikułem, chcemy odkrywać różne tajemne szlaki historii, ale także próbujemy tę historię zrozumieć.

MJ: Lubimy bardzo życie codzienne, w związku z tym z przyjemnością zawsze opowiadamy o tym, oczywiście często inspirowani tym, co przygotowują prelegenci – to ważny, można powiedzieć najważniejszy element wehikułu. Opowiadamy o tym, jak kiedyś żył człowiek. Taki jak my. W ten sposób budujemy most pomiędzy przeszłością a czasami współczesnymi.

Kto jest w załodze Wehikułu?

MJ: Mamy dziesięciu majtków, jest kilku drugich i kilku trzecich oficerów poza kapitanatem, który my obsługujemy. Na pokładzie zawsze jest Sławek Nasalski – realizator całego spotkania, który dba o stronę techniczną. Zawsze zabieramy ze sobą prelegenta – on przygotowuje krótki wstęp, który jest częścią zasadniczą, punktem wyjścia dla naszej dyskusji. Kto jeszcze?

AK: Paweł Amulewicz, nasz wehikułowy redaktor, który przygotowuje sondę. Jest też sporo osób z wolontariatu – przede wszystkim

Fot. Anna Skrzypińska





eksperci, a więc osoby, które reprezentują różne dziedziny nauki, czasami sztuki, którzy ubarwiają różnymi przemyśleniami to, w co wprowadzi nas prelegent.

Gdzie można wsiąść na pokład Wehikułu?

MJ: To jest trudna sprawa, bo najpierw trzeba się przedrzeć przez kabinę kompresyjną, nałożyć specjalny kostium, Andrzej oczywiście ma w wielkie różowe grochy, więc nie jest to prosta sprawa. Olsztyński Wehikuł Czasu startuje w Olsztynie, najczęściej w Muzeum Warmii i Mazur. Ale oprócz olsztyńskiej odsłony programu jest też Wehikuł Czasu Extra.

AK: Rzeczywiście najczęściej bywamy w Olsztynie, ale nie da się ukryć, że wehikuł jest mobilny, toteż przemieszczamy się w różne miejsca – bywamy w Olsztyńku, bywamy w Grunwaldzie, w Lidzbarku Warmińskim i myślę, że będziemy w wielu jeszcze miejscach.

MJ: Przewozimy go zawsze na dachach naszych samochodów, co wyjaśnia, dlaczego nasze prywatne auta wyglądają tak a nie inaczej.

Czy podróż Wehikułem jest bezpieczna?

MJ: Owszem, jest bardzo bezpieczna – zaledwie dwadzieścia procent naszych podróżników nie wróciło do czasów obecnych, a zatem mamy osiemdziesięcioprocentową pewność, że ci, którzy wejdą na pokład, wrócą. To bezpiecznie, prawda?

AK: Oczywiście.

Czym jest napędzany Wehikuł?

MJ: Korzystamy z japońskiej technologii, naukowcy opracowali już samochody na wodór. Tak też działa Wehikuł. Wlewamy tylko półlitrową butelkę wody, którą zazwyczaj miła obsługa Muzeum

Warmii i Mazur pozostawia na stole i dzięki temu podróżujemy. Oczywiście jest to nieprawdą. Szukamy zawsze sponsorów, dzięki których przychylności loty Olsztyńskiego Wehikułu Czasu są możliwe. Organizacja kolejnych wypraw Wehikułu jest nie lada gimnastyką, ponieważ nasze podróże, ze względu na swoją rozbudowaną multimedialną formułę, są dość kosztowne. Mieszczą się w tym opłaty realizacji, no i sztabu ludzi, którzy przy tym pracują.

AK: Uzupełniając słowa Marka, chciałbym przede wszystkim podziękować tym, którzy do tej pory nas wspomogli, zawierzyli nam i polecieli z nami w ciekawą podróż w przeszłość.

Czy Wehikuł podróżuje według jakiejś mapy? A może GPS?

MJ: Tą mapą są nasze głowy i pomysły, które poddaje codzienność. Zawsze chcemy spróbować sprawdzić, jak to było kiedyś – jak kiedyś się żyło bez telewizora, jak kiedyś wyrabiano w domu piwo, chociaż coraz częściej okazuje się, że historia zatacza koło.

AK: Czasami też że reagujemy na rzeczywistość – są jakieś rocznice, wydarzenia, które nas inspirują. I też się tak zdarza, że próbujemy zareagować na to, co się dzieje w danym momencie. Generalnie to wszystko rodzi się faktycznie w naszych silniczkach, czyli w głowach. I to jest chyba *clou* wszystkiego.

MJ: Zwłaszcza te silniczki w głowach. Pozdrawiamy!

AK: Do zobaczenia na pokładzie Wehikułu Czasu!

Oprac. zespół red.

Vadim Mesyats

Wiersze w przekładzie Krzysztofa D. Szatravskiego

Вадим Месяц

*Vadim Mesyats, poeta, prozaik, wydawca, ur. w 1964 r. w Tomsku, jako doktor fizyki i autor 25 prac naukowych z tej dziedziny pracował w Rosyjskiej Akademii Nauk. Jako poeta zadebiutował w 1992 roku. Rok później wyjechał do USA, gdzie pracował jako koordynator rosyjsko-amerykańskiego programu kulturalnego przy Stevens Institute of Technology w Hoboken. Od 2004 r. prowadzi moskiewskie wydawnictwo Rosyjski Guliwer oraz kwartalnik literacki „Gwideon”. Autor 23 książek poezji i prozy, laureat licznych nagród, członek Związku Pisarzy Rosyjskich (Moskwa) oraz PEN-Clubu (New York). Jest to **pierwsza prezentacja poety w języku polskim.***

Bajka norweska

To nie łzy – to jego oczy.
Potoczyły się w czarny las heddalski.
Zabrał je troll.
I zobaczył księżyc.
To nie żaba – to jego język,
Skacząc, zniknął w czarnym heddalskim lesie.
Zabrał go troll.
Zobaczył księżyc i powiedział: »Księżyc«.
Jest droższy niż złota mrówka,
I bardziej krągły niż kosmata kula błota.
Troll chichotał, aż zabrał go patrol.
Aby nie płakać, trzeba wcześniej zasnąć.

1984

Pudełko zapalek

Spada pudełko zapalek.
Pęka pod nim lód.
Ogień gaśnie w zakrzepłej gęstwinie.
Słońce za horyzont się toczy
jak z ludowej bajki kłębek.
I jest jak kłębek
czarne i prawdziwe.

Mówisz,
to życie przeżyte na próżno,
że dwadzieścia lat temu,
utoneło w jeziorze,
a teraz podnosi się z dna
na porzewiałej kotwicy
zgarbione się wspiera.

Najwyższy czas
czule cię objąć,
ale na ten moment sam pod wodę zejść muszę.
I kamienia z mej duszy
nikt zdjąć nie może.
I duszy na wolność
już nikt nie wypuści.

Trzy wiersze o nocy

1.

Nie przywracaj mnie nocy
stamtąd pochodzę
i ciemność, ciemniejsza od światła
i cichsza od niemej modlitwy
bardziej szorstka od papieru
raniącej czułości
przekraczającej człowieczeństwo.

Świt pełną przez szczeliny stodoł
I splekane poszycie statków.
Szedł nie dotykając ziemi.
I wtedy się objęliśmy
niscy i wysocy,
i zaskrzypieliliśmy jak żarna
pozłoczone męki jutrzenką.

2.

Idą, ich głowy krągłe.
Niedbali kawalerowie,
odmawiający jedzenia
po całej nocy.

Każdy wyszeptał
Imię Lejla,
Ich świece marzyły aby pochwycić
słoneczne promienie.

W tym mieście przyjęli ich
jak swoich.
Dlatego, że na ich niemytych twarzach
zostały cienie
kochanych kobiet
już zmarłych

3.

Policzyłem otrute lisy
brodząc całą noc
boso po zmarzniętym sadzie
ostrożnie wyjmując z każdego pyska
niebieskie kostki lodu.

Statki wędły jak kwiaty,
poskrzypywały poręcze.
Rzecz przychodząca w ciemności
pociągała mnie
jak porzucona ojczyzna.

Jaka by nie była twoja droga
kiedys się potkniesz
o skrzep ciemności
skamieniałej przed świtem.

Donna Anna

Złodowaciały żeliwne żebra ogrodzeń.
Kobiety przeobrażają się w woskowe lalki.
Wieczna północ, skuwająca miasta
Skłoni się do pocałunku nad włazem wodociągu.
Czy żal ptaków, które rozbiły się o szkło?
Czy może przerażać bicie nienakręconego zegara?
Miłość przeczystcza zapchane śniegiem gardło,
dosłownie jak palacz, zdecydowany wypowiedzieć
słowa ostatecznej przysięgi.
Mówisz, że ziemia
to tylko stwardniałe niebo,
wierysz w równość powietrza i wody,
ognia i lodu, żywego i martwego.
Don Juan na bezkresnym posłaniu
podobny do niemowlęcia,
gdy brukowaną drogą ku niemu
ciężkim krokiem
zbliża się kamienny gość.

Andrzej Piedziewicz

W ciemnej godzinie

*A-a-a, kotki dwa,
Cienie w mroku obydwu.*

Biegłem do niej od razu, gdy tylko zakwiliła. Nigdy nie czekałem, nigdy się nie spóźniłem. Moja mała córeczka – myślałem, idąc przez ciemne mieszkanie do dzieciennego pokoju.

Małe dzieci budzą się co noc. Nikt nie wie, czy bardziej potrzebują ciepła, jedzenia czy pocieszenia w mroku. To nieistotne. Istotne, by przy nich być. Od początku wiadomo było, że naszą córką w nocy będę opiekował się ja. W jej pierwszych miesiącach tylko siedziałem obok, trzymałem za końcówki króciutkich palców, głaskałem nieuforną jeszcze do końca głowę. Robiłem mleko, przewijałem, nosiłem w ramionach, aż znów się uspokoiła, aż przestawała bać się ciemności i odpływała w krainę snu. Wtedy lekko przymykałem drzwi dziecięcego pokoju i wślizgiwałem się pod kołdrę obok jej matki, która za każdym razem wzdrygała się lekko, na krawędzi snu uświadamiała sobie, że to tylko ja, że znów z nią jestem, i – uspokojona jak nasza córka – odpływała w głąb siebie.

Daleko od mroku.

Po kilku miesiącach zaczęliśmy rozmawiać. Początkowo mówiła ona – dziecięcym głosikiem, dziecięcymi sylabami, tworzyła niezrozumiałe, nieistniejące wyrazy. Jej głos budził do życia nowe światy, które wirowały w naszej wyobraźni jak eteryczne motyle, kreśliły pętle w ciemności między sufitem a naszymi głowami. Nie wiedziałem, o czym mówi, myślę, że sama tego nie wiedziała. Oswajała świat, oswajała ciemne nocą mieszkanie. Patrzyła na mnie oczami błyszczącymi jak dwa ametysty. Stojąc niezgrabnie w łóżeczku i trzymając się szczebelków, opowiadała świat oglądany przez nową ludzką istotę. Świat cieni, przebijającej przez kotary księżycowej poświaty i dwojga ludzi, patrzących na siebie poprzez mrok.

Nasze nocne rozmowy trwały. A gdy była trochę większa i rozumiała już ludzką mowę, ja zacząłem opowiadać.

Mówiłem jej o jeziorze i o lesie, które były tuż obok, całkiem niedaleko. Opowiadałem o Rybie, o Ropuchach, o Sarnach, Wiewiórkach i Zającach. Śmiała się, gdy opisywałem małe, czarne oczka wypatrujące żółędzi wśród opadłych liści i o mokrych noskach, węszących w poszukiwaniu smakołyków. To były wesołe opowieści, bo choć las bywał ciemny, nigdy nie było w nim chłodu, smutku i żałoby. Zasnęła z ufnością, wierząc, że świat jest pięknym miejscem, w którym wszystkie małe zwierzątka tulą się do swoich pościeli w starych pniach, by rano wyruszyć po nowe przyjaźnie i nowe przygody.

Ale...

Gdy była jeszcze trochę większa, opowiedziałem jej o Szczupaku. Opowiedziałem jej o Sowie i o Wilku. Opowiedziałem, że w jeziorze

i w lesie też mieszka żałoba. Tej nocy płakała, cichutko, a ja trzymałem jej rękę, czekając, aż się ukoi. I powtarzając – to nic, tak musi być, zanim przyjdzie żałoba, zawsze jest radość. A potem wślizgiwałem się pod kołdrę obok jej matki, wiedząc, że ona też płakała, bo także słyszała historię, którą tej nocy opowiadałem. Ale i ona w końcu zasnęła, omijając w ten sposób mrok.

A potem moja córeczka stała się gotowa na jeszcze inne opowieści. O zaginionym mieście, ukrytym pod powierzchnią jeziora. W tym mieście mieszkała niegdyś piękna księżniczka. Jej ojciec, gburowaty, lecz o ciepłym sercu wielki brodac, władał niewielką krainą, zamieszkałą przez bartników i drwali – silnych mężczyzn i ich żony – ludzi żyjących w lesie i z lasu. Nie bali się go, nie trwożyło ich zielone sklepienie zamykające się nad głowami, nie przstraszał suchy szelest opadłych liści. To było ich miejsce, nie nadużywali jego hojności, a ono nie wiodło ich na manowce, pozwalało omijać zwodnicze wrzosowiska i bagna. Ale pewnego dnia coś się zmieniło – ich pan przyjął w swoim mieście przybyszów z innej krainy. Gładkich, choć ich sandały pokrywał kurz wielu dróg, jakie przebyli. Przynosili materiały o żywych barwach, opowiadali o celu swojej podróży – kamieniach w kolorze miodu, wyrzucanych na brzeg przez morskie fale. I mała księżniczka zamarzyła o morzu – o jednostajnym szumie, o ciągłym ruchu, o białych bałwanach wieńczących szaro-sine fale. Wybłągała ojca, by pozwolił jej wyruszyć z handlarzami z dalekiej krainy – a oni przysięgli jej chronić. I dotrzymali słowa – pokazali jej morze. A ona weszła pomiędzy fale, upojona ich szumem, ciągłym ruchem, szaro-sinym kolorem. Handlarze wołali, próbowali ją zatrzymać – ale nikt nie morze oprzeć się takiemu wołaniu, jakie usłyszała księżniczka.

Gdy wieści dotarły do jej rodzinnego miasta, jej ojciec oszalał, włosy jej matki w jednej chwili zbieleły. Nie chcieli już lasu, nie chcieli zielonego sklepienia nad głowami. Poprosili – i dostali to, czego chcieli. Wody jeziora zamknęły się nad nimi, nad całym miastem.

- Idąc nad jeziorem, jeśli wystarczająco mocno będziesz się wpatrywać, a księżyc będzie wystarczająco mocno świecił, zobaczysz zmurzającą bramę do miasta, którego już nie ma – opowiadałem mojej córeczce, a ona zasnęła, uśmiechając się, marząc o ujrzeniu wieży ratusza, ostrokołu barbakonu, o brukowanych uliczkach ukrytych pod falami.

A w końcu przyszedł czas, by opowiedzieć jej o naszym mieście. Choć osiągnęła wiek, w którym dzieci zazwyczaj przesypiają całe noce, ona wciąż się budziła. A ja biegłem, na palcach, by nie zbudzić jej matki, przez ciemne mieszkanie, by wziąć moją córkę za rękę i dalej opowiadać jej historie, podczas gdy wpatrywała się we mnie ciemnymi oczami, poprzez mrok.

Mówiłem jej o wzgórzach, na które prowadzono zdrajców, by rozpiąć ich łańcuchy i pozwolić odejść wolno. Ale ta wolność była ułudą – bo nie wiedzieli, że po drugiej stronie wzgórza czai się coś, co zdrady nie nawidzi. Co ceni tylko wierność. I co za brak wierności karze wiecznym przywiązaniem.

Mówiłem o innym wzgórzach, na które prowadzi się morderców. Tam dostają wybór – stryczek lub nóż o krótkim, wąskim ostrzu. Stryczek to śmierć szybka i niemal bezbolesna, bo kat jest mistrzem w swoim fachu. Podczas gdy nóż – to cierpienie, bo niezwykle trudno takim ostrzem samodzielnie odebrać sobie życie. Ale ten, kto się na to zdecydował, może liczyć na odpuszczenie swoich win. A przynajmniej części z nich. I choć umiera długo i w bólu – przynajmniej ma świadomość odkupienia.

Mówiłem też o zagajniku, gdzie prowadzi się gwałcicieli. Choć zagajnik wydawał się złożony z jasnych brzoź, w jego wnętrzu było ciemno. Nikt nie wiedział, kto tam mieszka. Mieszkańcy miasta wiedzieli tylko tyle, że od wieków winnego gwałtu strażnicy odprowadzali do granic zagajnika. I że w oczach każdego widzieli rosnące przerażenie. I że żaden spośród białych brzoź już nie wracał.

Każdej nocy inna opowieść – a wraz z jej końcem spokojny oddech śpiącego dziecka.

Innym razem opowiadałem jej o zaciemionych placach naszego miasta. O jego pięknych ulicach. O rzecze, która najpierw biegnie pod mostem świętego, by niedaleko przepłynąć pod mostkiem zakochanych, a na koniec, z szumem, gwałtownie, coraz szybciej, przekroczyć cień rzucany przez dwa bliźniacze mosty samobójców.

-To piękne miasto, córeczko. W mroku nie widać odrapanych tynków, jarmarcznych kolorów na elewacjach, tandetnych szyldów. W nocy widać tylko jego piękno – mówiłem, kołyszając do snu moją coraz starszą córkę.

Aż wreszcie przyszedł moment, by zabrać ją na spacer po naszym nocnym mieście. Podeszliśmy do wzgórz. Przeszliśmy przez wszystkie mosty. Wchodziliśmy na dachy kamienic i skakaliśmy z kominów w ciemność przed nami. Każdej nocy inna trasa, każdej nocy kryliśmy się w cieniach, strasząc późniejszych przechodniów, zawianych studentów, zakochane pary. Z dumą patrzyłem, jak moja córka pojawia się nagle obok zamyślnego nocnego spacerowicza, zabiera mu szalik i śmiejąc się, ucieka w cień. A on, zagubiony, nie wie – czy to przywidzenie, czy szalik faktycznie zabrała mu młoda dziewczyna o filuternym uśmiechu odziedziczonym po matce, o dźwięcznym głosie niknącym wśród cieni.

Wiedziałem, że chciałyby zapytać, dlaczego wzorem innych ojców nie biorę jej do kina, a w niedzielne przedpołudnie nie idziemy promiada nad jezioro, a potem na lody. Ale nie pytała, bo chyba wiedziała już, że nasze spacerki zawsze prowadzą poprzez cienie.

A potem skończyła 16 lat. I przyszedł czas, by zabrać ją na polowanie. Tej nocy obudziła się wcześniej. Jak zwykle wyszliśmy w mrok. Jak

zwykle wspięliśmy się na dachy, przemknęliśmy przez rzekę, zbudziliśmy figury świętych wokół katedry. Ale tym razem, gdy mijali nas młodzieniec z głową w chmurach i wzrokiem błędzącym wokół wyobrażonych księżyców, to nie ona wyszła z cienia, by zabrać mu szalik.

To ja wyszedłem z cienia, by zabrać mu oddech.

Kap, kap, kap. Krople krwi na bruku mają jaskrawoczerwony kolor pomimo mroku. Ciało młodzieńca przyjmuje dziwną, groteskową pozę. Jakby dziwił się, choć przecież nic go już dziwić nie może.

Oczy mojej córki robią się wielkie. I przerażone.

I głodne, ale tego ona jeszcze nie wie.

Biegnie do domu, nie oglądając się za siebie. Nie czeka na mnie, chce być jak najdalej. Tej nocy zasypia sama, nie biorę jej za rękę. Stoję tylko przed domem, wpatrując się w okno jej pokoju. A potem odchodzę w mrok. Nie czuję się odrzucony, wiem, że tak miało być, że tak było zawsze. I że to minie, i że w końcu sama będzie chciała wyjść na polowanie.

Kolejne noce są inne, niż zwykle. Nie biegamy po dachach, nie budzimy śpiących myszy. Moja córka nadal budzi się w ciemnej godzinie, ale nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Gdy trzymam ją za rękę, zaciska oczy, udając, że śpi. Gdy próbuję do niej mówić, zakrywa uszy, nie chce już słuchać moich historii.

Ale i tak jej opowiadam. Mówię o moim pradziadku, który uciekał wpław przez rzekę przed morzem krwi, zostawiając wszystko za sobą. Nikt nie wie, co zostało na drugim brzegu, bo nigdy nie chciał o tym nikomu opowiedzieć. I o jej pradziadku, który uciekał z jenieckiego obozu, by za każdym razem wracać, ciągnięty na postrońku przez oprawców, a gdy go wreszcie uwolnili, nie mógł już wrócić do swojego domu. Więc znalazł nowy dom, ale wtedy zdecydował, że już nigdy nie będzie zwierzyną. Że teraz to on zacznie polowanie. Mówię jej o cieniach naszego miasta, które przyjęły go jak długo wyczekiwane syna, bo one też były samotne po odejściu dotychczasowych mieszkańców, więc pozwoliły błędzić, kryć się, wymykać i wracać. I sprawiły, że w mroku nikt nie widzi tego, który poluje.

Aż wreszcie, po wielu nocach, moja córka otwiera oczy. I znów wychodzimy w miasto.

Gdy wracamy z naszych nocnych wycieczek, zawsze wślizguję się pod kołdrę obok jej matki. Zawsze drży, na granicy jawy, domyślając się, gdzie byliśmy. Głaszczę ją, nie pozwalam się obudzić.

W dzień może zabierać naszą córkę nad jezioro, do kina, na spotkania z przyjaciółmi. Może cieszyć się nią w pełnym blasku. Ja – nigdy nie zobaczę, jak śmieje się z przyjaciółmi, jak siedzi nad książką, jak jej włosy błyszczą w słońcu.

Ale do wschodu słońca to moje dziecko.

Olsztyn, luty 2014

Bobby B. Barlow

POLITYK, czyli historia wyborczo-traumatyczna

Władza poinformowała o kończącej się kadencji obecnie urzędujących i zbliżających się wyborach.

Jak co kadencję nie przejmowałem się tym, bo polityka w ogóle mnie nie interesowała. Osobiście współczułem politykom – byli zobowiązani do zarządzania państwem w sposób zadowalający społeczeństwo.

W dniu wyborów tak jak i inni zasiadłem z bliskimi przed telewizorem, by obserwować wybór nowo urzędujących. Po tradycyjnej przemowie głowy państwa i szefa rządu, w obecności Komisji Kontroli Gier i Zakładów oraz Wyborów, rozpoczęto losowanie.

Zrobiło mi się gorąco i czułem, jak krew uderzyła mi do głowy, gdy osiem z dziesięciu wylosowanych numerów DEBIL (Doskonała E-Baza Indywidualizacji Ludzi) było identycznych z moim. Losowano kolejny numer. Wstrzymałem powietrze. Niestety dziewiąty numer był również moim. Czułem napięcie w całym ciele. Pomimo ateizmu zwróciłem się z modlitwą do wszystkich znanych mi bogów. Nie zadziałało. Ostatni wylosowany numer był zgodny z moim DEBIL.

Żona i córka zaczęły płakać, brat stwierdził, że to wstyd dla całej

rodziny, po czym wyszedł, nie doczekawszy końca pozostałych losowań. Matka lamentowała, deklarując, że to przeżuwała, bo tydzień temu śnił się jej stryj, który też był politykiem. A ojciec, jak to ojciec, siedział w fotelu i bez słowa kiwał głową, wyrażając w ten sposób swoją dezaprobatę.

Gdy rozlosowano już wszystkich polityków na poziomie lokalnym i ogólnokrajowym przystąpiono do rozlosowywania urzędów.

- Byle nie MENDRZEC (Ministerstwo Edukacji, Narodowej Dumy, Rządowych Zadań i Efektywnej Cyfryzacji) – powiedziałem na głos.

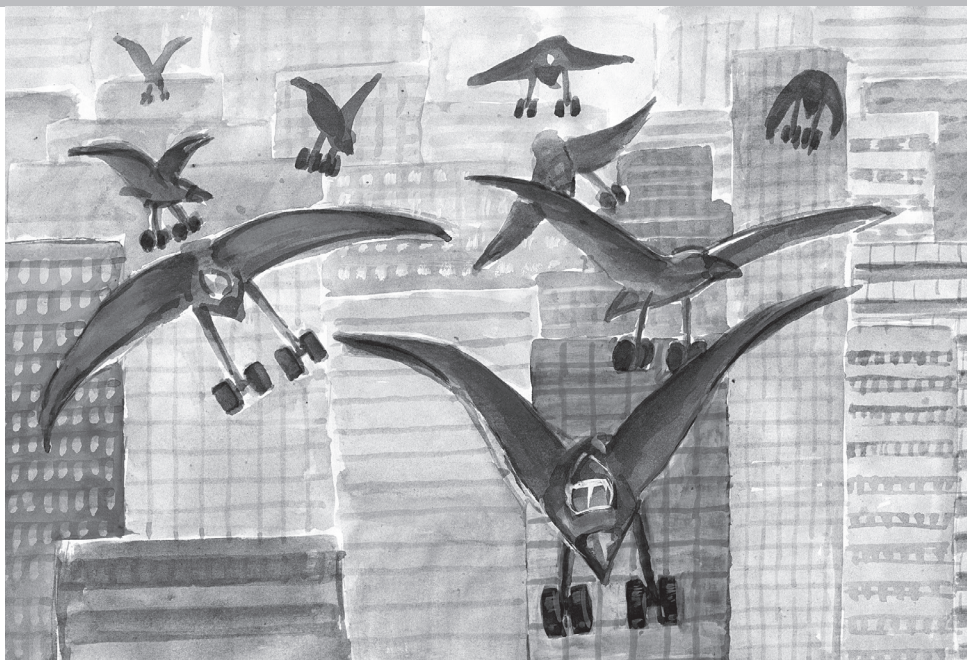
No i opatrzność mi sprzyjała. Wybrano mnie tylko głową państwa. Chociaż może powinienem być zły, bo ustawa, którą zgłosił MENDRZEC została przegłosowana jednogłośnie, co spowodowało, że swój urząd muszę pełnić dożywotnio. Zresztą co mi zostało? Żona zażądała rozwodu w trybie wyborczym, bo nie chciała być Pierwszą Damą, po czym związała się z moim bratem, który przestał się do mnie odzywać. Z racji piastowanego urzędu pozbawiono mnie praw rodzicielskich, a rodzice mnie wydziedziczyli.

Może to i dobrze. Polityk w rodzinie. Taka hańba.

Marek Barański ptak uderzył w szybę

gdy przez nią spojrzałem
kłębek piór
odbił się od tafli szkła
i przefrunął nad podwórkiem
między redakcją a drukarnią

Il. Tadeusz Burniewicz



Andrzej Cieślak

Panna Łyna

Mała rzeczka, nitka życia, nurtem wody –
pieści domy co osiadły nad brzegami.
Latem przy jej lustrze – dla ochłody –
spaceruje gwarna radość z rodzinami.

Mała rzeczka, nitka czasu, bez wytchnienia –
swoją ścieżką wyznaczoną przed wiekami –
na spotkanie biegnie przeznaczenia,
na spotkanie z innymi dopływami.

Mała rzeczka, nitka drogi – panna Łyna,
co w Pregoły się pluska rozlewiskach,
nieдоступne, leśne dróżki przecina,
moim oczom daje darmo cud zjawiska.

Mała rzeczka, nieprzerwana losu nitka,
bez zmęczenia tka zielone kobierce.
Choć z innymi – w porównaniu – jest płytka,
to pojemne dla olsztyńian ma serce.

Bożena Kraczkowska

Zsiadł się liść na drzewa pniu...uuu

Opadają liści kiście
w parku są licealiści
będą palić, lecz nie liście... oczywiście.
Zsiadł się liść na drzewa pniu... uuu.

Tam pokrzywa – też się zsiadła
i kropelka jej opadła
i opadły jej parzydła, że aż zbrzydła.
Zsiadł się liść na drzewa pniu... uuu.

Księżyc zsiadł się
zsiadło słońce ponad ściętej szronem łące
kasztaniaki zsiadły się... eee.

Wszystko zsiadło się, opadło
i na ziemię sobie spadło
i tam myka na ludzika,
żeby siadła mu psychika
niech poślizgnie się na zsiadłym liściu kiściu... mi.

Arkadiusz „Skor” Szordykowski

XVI

Usłysz fal przekomarzania
strumieni łkającego szeptania
Wsluchaj się w powietrza szemranie
cykad radosnych współgranie
Słyszysz?
Wiatr drzewa targa, z liści dźwięki dobywa
szum barwą symfonii, zapyla
Dudniące trąby, świetliste gromy alarmujące
przyćmiewające trele, słońce wychwalające
Wsluchaj się w serce, dogłębnie
Odkryj wrażliwe wnętrza:
Zrozum!

Dojrzyj wiatrak w błękitnych trzcinach
w łanach zbóż tańce z muzą wycynia
Jarząca skry słońca, w łzy rosy kropli zakłete
żdźbła traw perliście ozdabiają
Widzisz?
W słonych kropkach deszczu, łzy anielskie ukryte
z kurzu, brudu pajęcze jedwabie obmyte
Księżyc obłudnie szłocha, za wachlarz drwiące lico skrywa
gwiazdy współczucia przyzywa, w nicość porywa
Wejrzyj w duszy wspomnienie
Odnajdź sumienie;
Zrozum!

Zatracasz się w melancholii bezkształtnej otchłani
Zatracasz wartości, tracisz widzenia ostrość
Iluzja prawdą się staje, prawda złudą się zdaje
Dojrzyj obłudy docelowej treści, obudź się!
Obudź; iluzji atlas rozerwij, światło odtwórz
Zrozum przesłanie
Świata, życia postrzeganie.

Anna Rau

Panna Wyzuta

W jednej z legend arturiańskich pojawia się bardzo ulotnie pewna postać – kolejna z wielu występujących w tej rozbudowanej historii – piękna i tajemnicza dama bez imienia, przybyła na dwór w Kamelocie ze skargą na swój los i z prośbą o pomoc. Narrator nie poświęca jej zbyt wiele uwagi, gdyż stanowi ona tylko pretekst do kolejnej z przygód któregoś z pierwszoplanowych rycerzy, a jednak... nie daje o sobie zapomnieć. Pani w Opresji pozbawiona swoich skarbów, zapomniana i opuszczona przez wszystkich, a jednak pociągająca i pobudzająca do działania wspomnieniem swej dawnej świetności. Panna Wyzuta... Takie określenie też jakoś się pojawia w myślach tego, kto dzięki swej ciekawości zabytków Warmii i Mazur lub po prostu przypadkiem trafia do Chwałęcina, niewielkiej miejscowości w gminie Orneta.

Dojazd jest trochę kręty, choć niezwykle malowniczy, wśród pól, drzew, kapliczek i innych podobnych elementów tak charakterystycznych dla warmińskiego krajobrazu (choćby miejscowość Augustyny z imponującą hodowlą pięknych łaciatych krów!). Widok u celu jednak tym bardziej jest niezapomniany... Oczom turysty ukazuje się otoczona solidnym murem regularna bryła jasno otynkowanego kompleksu sakralnego, niezwykle podobnego w swej formie do osławionych już i najczęściej wymienianych zabytków architektury barokowej Warmii i Mazur, czyli sanktuariów w Stoczku Klasztornym, czy Świętej Lipce. Można dodać, że świątynia w Chwałęcinie to również sanktuarium, ale stosunkowo nietypowe – gdyż nie maryjne, a Podwyższenia Krzyża Świętego.

Pierwsze uniesienie nie opada nawet po dokładnej obserwacji obecnego stanu zabytku: na wieży znajduje się imponujące bocianie gniazdo (to jest akurat urocze), a mury są spękane. Niestety znaczna odległość od głównych traktów oraz w związku z tym stopniowe zanikanie tego miejsca w pamięci potencjalnych pielgrzymów i turystów zrobiło swoje. Obecnie do środka można wejść jedynie dzięki pozwoleniu i uprzejmości księdza oraz – przede wszystkim – „sąsiadów” kościoła, gdyż teren świątynny otwarty jest wyłącznie w niedziele, kiedy odprawiana jest jedyna msza święta (wyjątek stanowi dzień święta Podwyższenia Krzyża Świętego).

Centrum tego miejsca jest umieszczony na ołtarzu Cudowny Krzyż, zwany Czarnym. Stosunkowo niewielki, ale bardzo kunsztowny, wykonany w drewnie. Jego historia sięga początku XV w., kiedy Warmia znajdowała się pod panowaniem Zakonu Krzyżackiego. Według pewnego podania krucyfiks po prostu przypląnął do Chwałęcina z nurtem Wałszy, lecz według innej... znaleziono go porzuconego (podrzuconego?) w lesie Appelau (Applau) nad Wałszą. Anonimowy przechodzień nagle dostrzegł leżący krzyż na pniu olszy – i przypuszczając, iż jest świętokradco strącony z jakiegoś przyrodzoności postumentu, zaniósł go do kościoła w Osetniku. Las Appelau co prawda znajdował się niedaleko Chwałęcina

(lokowanego w 1349 r.), jednak w tej miejscowości wówczas nie było kościoła. Tak czy owak następnego dnia krzyż z kościoła zniknął i został znaleziony ponownie w tym samym miejscu na pniu drzewa. Mimo procesyjnego przeniesienia krzyża do kościoła w Osetniku, umocowania go na ołtarzu, potem zaś trzymania pod strażą, sytuacja każdego dnia wyglądała tak samo. Dopiero budowa drewnianej kaplicy w miejscu znalezienia przedmiotu zakończyła jego bezustanne przemieszczanie się. Od tego czasu ponadto zaczęto zgłaszać władzom kościelnym nieuzasadnione racjonalnie przypadki uzdrowień bądź innych łask doznawanych dzięki modlitwom wznoszonym przy Czarnym Krucyfiksie. Wiadomość przenoszona z ust do ust spowodowała, iż kaplicę zaczęli odwiedzać coraz liczniej pielgrzymi. To nakręciło rozwój wsi jako pewnego centrum kultu: w 1520 r. Chwałęcina mianowano osadą odpustową, zaś – przez wzgląd na stopniową, naturalną dewastację budynku w 1570 r. wzniesiono tam nową kaplicę – z drewna dębowego. Nie była duża, skoro mieściło się w niej osiem osób... Z tamtych czasów przetrwała do dziś kamienna chrzcielnica, znajdująca się w północnej nawie obecnego kościoła. W 1675/6 r. wystawiono trzecią, tym razem murowaną w „stylu pruskim” kaplicę, która zamieniła się w kościół wybudowany jako wypełnienie ślubu Kapituły Warmińskiej, proszącej o uratowanie ludności od śmierci podczas epidemii dżumy (1709 r.). Kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego z fundacji Kapituły Warmińskiej (przeznaczono na niego 8 tysięcy florenów) wybudowano w latach 1720-1728 według planów mistrza budowlanego Jana Krzysztofa Reimera z Westfalii, przebywającego w pobliskiej Orniecie (był on m.in. architektem pięknego kościoła w Krośnie, obecnie sanktuarium maryjnego). Jako że budowę rozpoczęto już po śmierci projektanta, dokończył ją (nawiązując do stylu kompleksu w Świętej Lipce) nieznanymi dziś mistrz budowlany. Konsekracja świątyni odbyła się 13 czerwca 1728 r. przy uczestnictwie biskupa warmińskiego Krzysztofa Andrzeja Jana Szembeka. W ołtarzu głównym umieszczono Czarny „słynący łaskami” Krucyfiks oraz relikwie, m.in. św. Krzysztofa. Prawdopodobnie wówczas też Chrystus z Krucyfiksu otrzymał złote, typowo barokowe, *perizonium* (przepaskę na biodra). Od tego czasu sanktuarium w Chwałęcinie dosłownie kwitło – i to pomimo trudnej historii Polski oraz (w szczególności) skomplikowanej narodowościowo sytuacji naszych ziem. Po błyskawicznym wyjeździe miejscowych Niemców w 1945 r. i wyzwoleniu radzieckim kościół w Chwałęcinie aż do dziś dnia ogólnie pozostał w niemal niezmiennym stanie (wspomniana wcześniej świątynia w Osetniku jest w ruinie).

Pozostawiając historię, można w tym momencie spojrzeć na zabytek oczami współczesnego. Wchodzący do świątyni (mając w pamięci bocianie gniazdo oraz okrążające świątynię, lekko podupadające krużganki



Drogi Krzyżowej z lat 1820-1836) zastyga w niekłamany zachwyce. W latach 1748/9 tzw. pozorne sklepienie krzyżowe kościoła pokryto polichromią z czternastoma scenami Legendy Krzyża Świętego, zaś chór i loże (czyli emporę) – malowidłami przedstawiającymi legendę o pochodzeniu Czarnego Krucyfiksu i miejscowe cudowne uzdrowienia z lat 1661-1712. Malowidła wykonane są na drewnie i pokrywają całe sklepienie, ich twórcą zaś był Jan Lossau (1722-ca 1788), uczeń Jana Chrzciciela Tiepolo (1696-1770), mistrza weneckiego malarstwa dekoracyjnego. Polichromia pozostała w niemal nienaruszonym stanie: kolory są żywe i urozmaicone, postacie istotnie barokowe w swych ruchach. Dzięki uprzejmości oprowadzających można w tym miejscu przytoczyć miejscową anegdotę nt. kościelnego sklepienia. Mimo iż malowidła zachowały się przez wieki w niemal niezachwianej formie, jedno miejsce straciło swoją ozdobę – scena arki Noego z wszystkimi zwierzętami. Akurat ten fragment niestety nie zachował się na skutek prozaicznych zalewów z dachu. Miejscowi śmieją się, że jest oczywistą sprawą, iż arka Noego po prostu odpłynęła...



Fot. Anna Rau (2014)

Całość wyposażenia halowego, trójnawowego kościoła w Chwałęcinie również zapewnia niesamowite doznania estetyczne, jako że było stopniowo uzupełniane przez cały XVIII wiek. Obficie zdobione ołtarze oddają barokowe pojmowanie przepychu, z boku budowli dodano dwie symetryczne zakrystie z emporami – wszystko zdobione malowidłami i elementami przestrzennymi. Całość zapiera dech... i daje poczucie smutku. Wspaniała i długa historia tego niezwykłego miejsca ma bowiem obecnie dość przygnębiające zakończenie. Dawna powszechna sława Chwałęcina jako miejsca kultu, ba – choćby nawet jako miejsca niezwykłego zabytku – nigdy nie powróciła. Obiekt podobny kunstem projektu oraz niezwykłością zdobień do innych, uznanych i licznie odwiedzanych (oraz co tu kryć – dotowanych), sanktuariów warmińskich został niemal całkowicie zapomniany, a przecież ci, którzy przyjechali, wiedzą, że zadziwia... Prawdziwa Panna Wyzuta.

Serdeczne podziękowania i pozdrowienia dla ks. Tomasza oraz Pani mieszkającej przy kościele w Chwałęcinie, jak też Paniom z jej rodziny, oprowadzającym po zabytku. I specjalne głaski dla kota Lorda :).

Anita Romulewicz

Tam, gdzie wędrują dusze

Nie da ukryć, że od dłuższego już czasu na regionalnym rynku książki dla dzieci dzieje się mało. Wśród nielicznych publikacji uwagę zwracają jednak pozycje o tematyce religijnej. Jest ich stosunkowo więcej niż pozostałych i reprezentują pewną charakterystyczną stylistykę, którą doskonale obrazuje najnowsza, solidnie oprawiona *Złota legenda znad polskich jezior i lasów*. Książka została wydana w Kielcach, ale historie w niej opowiedziane dzieją się w Polsce północnej, dokładnie na Warmii, Mazurach i Suwalszczyźnie. Szczególnie liczne są legendy z Mazur, skąd pochodzi autor. Książd Jan Skorupski jest obecnie proboszczem w Ełku i wykładowcą w olsztyńskim Wyższym Seminarium Duchownym „Hosianum”. Fakt ten jest nie bez znaczenia dla klimatu utrzymanego w książce. Autor bowiem pisze w tonie pouczenia, ale i ku pokrzepieniu serca. Książka natomiast jest barwnym zbiorem legend o hagiograficznym rodowodzie.

Znajdziemy w niej m.in. opowieść o św. Wojciechu, patronie ziem pruskich, gdzie podjął się trudnej pracy apostołskiej. A także o św. Brunonie, biskupie z Kwerfurtu, który poniósł męczeńską śmierć na pograniczu prusko-litewskim. W drugiej części pojawiły się też opowieści o współczesnych duchownych, nazwanych poetycko „pasterzami znad jezior”. Ich szlachetne postawy, szczególnie w trudnych czasach wojny, zostały zebrane, by stanowić wzory do naśladowania dla pokoleń młodych.

W tym miejscu należy zwrócić uwagę na adres czytelnicy książki. Pierwszy rzut oka pozwala przypuszczać, że napisano ją z myślą o młodych czytelnikach. Naiwne w stylistyce ilustracje oraz wybór gatunku literackiego sugeruje przeznaczenie dla dzieci. Jednak ciężki papier i typowy dla klasyki literatury dorosłej sposób oprawy najmłodszych z pewnością nie skusi. Zastanawia ta słaba spójność formy wydawniczej z treścią. Można natomiast zakładać, że książka doskonale sprawdzi się jako ciekawa i pożyteczna pozycja w domowej biblioteczkę, do której wracać będą częściej dorośli niż dzieci, jak mało kto czułe na bezpośredni dydaktyzm i natłok wiedzy historycznej. Pośrednictwo dorosłego czytelnika w tym przypadku jest uzasadnione, zwłaszcza że część z legend zawiera żywy opis scen męczeństwa.

Wielkim walorem zbioru jest niewątpliwie osadzenie tematu żywotów świętych, apostołów, ale i bohaterów oraz wielkich patriotów, w barwnych dziejach Warmii i Mazur. To swego rodzaju motyw przewodni wszystkich zawartych w książce legend i podań. Na szczególną uwagę zasługuje spojrzenie autora na miejsca święte, które do dziś możemy

odwiedzać i kultywować, a których geneza tkwi w czasach odległych, sięgających chociażby plemion pruskich, ekspansji krzyżackiej, czy też najazdów tatarskich. Książd Skorupski z dużym wyczuciem faktów opowiada historie, nie tyle koncentrując się na samych wydarzeniach, co na ludziach. Większe znaczenie ma bowiem dla niego człowiek i jego wewnętrzna przemiana.

Złota legenda niczym wehikuł czasu zabiera czytelnika w podróż duchową i po miejscach naznaczonych magią. Moc tych przestrzeni tkwi w naturze, ziemi, kamieniu lub drzewie. To doskonała lektura dla wszystkich, którzy pragną dowiedzieć się więcej o zwyczajach plemion Jaćwiegów zamieszkujących okolice dzisiejszych Mazur wschodnich i Suwalszczyzny. Przejmujące procesy ciało-palenia na stosach pogrzebowych lub w łodziach, gdzie uśmiercane wraz mężami były żony oraz konie, to opowieści odwołujące do wątku świętego ognia, który zanosił dusze zmarłych do lepszego świata.

Wiele z legendarnych przestrzeni naznaczonych jest pamięcią o pogańskich przodkach. Ci, odchodząc, wstępowali w święte drzewa i zwierzęta, czyniąc je obiektami kultu. Taką moc ma do dziś Święte Miejsce koło Augustowa, czy jezioro Żabie Oczko koło Ełku, gdzie nad brzegami rosła na prochach dumnych Jaćwiegów sosna. Ścięcie takiego drzewa, choćby jednego, w świętym gaju było aktem świętokradztwa, równoznacznym z odcięciem świata żywych od dusz i pamięci przodków. Z podań czytelnik dowie się także, że ptaki jako bliższe bogom były pożądanym sposobem na przenikanie do innego świata, zaś królem wśród świętych zwierząt był jeleni ze swoimi rozłożystymi rogami, symbolizującymi niebo.

W zbiorze legend znad jezior i lasów odnaleźć można ponadto pielegnowane do dziś tradycje gietrzwałdzkie, czy świętolipskie, gdzie cudowność koncentruje się wokół świętych drzew. Wiele tam także opowieści o wzgórzach pełnych mocy i gładach naznaczonych krwią ofiar, jak te z okolic Starych Juch. Całość nie tylko niesie wiele informacji, ale też zmusza do zatrzymania się na chwilę i zastanowienia. Przemysłana kompozycja książki porządkuje treści i emocje. Epilog, w którym chłopiec żyjący obecnie w poniemieckim gospodarstwie wspomina poprzednich domowników jako mieszkańców „wspólnych” ziem i po części „własnych” przodków, stanowi jednocześnie – poza ciekawą opowieścią – doskonałą pointę.

Jan Skorupski, *Złota legenda znad polskich jezior i lasów*, Kielce 2014, Wydawnictwo Jedność.

Agata Zaręba-Jankowska

Gniewny Olsztyn

Lubię moje miasto. Jest niewielkie, prowincjonalne, z kompleksami, leży na dalekiej północy. Na uboczu cywilizacji i wielkiego świata. Aspiruje do miana metropolii, choć posiada tylko dwa duże zakłady przemysłowe i jeden z młodszych w kraju uniwersytetów. Plus kilka mniej czy bardziej udanych prywatnych szkół wyższych. I nie zapominajmy o jedenastu jeziorach w jego granicach. Wielką radość sprawia mi czytanie o moim mieście, szczególnie jeśli nie są to opracowania naukowe, a najprawdziwsze powieści. A jeśli trafi się osadzony w moim mieście kryminal, radość nie ma końca.

Zatem, gdy trafiłam gdzieś w prasie na zapowiedź *Gniewu*, najnowszej produkcji Zygmunta Miłoszewskiego, nie wahałam się długo (mimo że nie znam wcześniejszych historii o Teodorze Szackim). Sama intryga jest niezła, choć mniej więcej w dwóch trzecich czytelnik może zacząć się domyślać, co i jak. Temat społeczny omawiany w powieści jest ważny i nieczęsto widywany w literaturze, jakby nie było, popularnej. Przemoc domowa nie jest w końcu widowiskowa. Sam Teodor Szacki skonstruowany został wyśmienicie: zimny, wystudiowany, dbały bardzo o pozory i wizerunek (przepiękne są opisy jego upodobań kawowych), jednak tym, co urzekło mnie w tej powieści, jest język i obraz mojego miasta.

Najpiękniejsza część każdej bez wyjątku książki to jej materia, czyli język. Miłoszewski swój materiał zna doskonale, wyczuwa wszelkie jego chropowatości, rytmy i fale. Bawi się językiem, zarówno w warstwie znaczeniowej, jak i tej pierwotniejszej, fonetycznej. Jakże idealny jest wywód o najbardziej polskim z polskich słów – październicy. Poczynając od jego ujmującej formy i nagromadzenia diakrytów, aż po znaczenie i wpływ jego desygnatu na historyczne i społeczne przemiany naszego kraju... Prócz tego rozmowy bohaterów o zawziętościach i ciekawostkach ludzkiej anatomii, a zwłaszcza same opisy postaci drugoplanowych – o wielce sugestywnych imionach – są majstersztykami w *Gniewie*.

I w końcu miasto. Spowite mgłami, pochmurne, wiecznie wilgotne przez listopadowo-grudniową marznącą mżawkę. Szare i ciemne, zimne i dalekie od pocztówkowego swego wizerunku letnich miesięcy. Krajobraz jak ze skandynawskiego kryminału. Autor w brawurowy sposób opisuje jego historię na przykładzie analizy urbanistycznej Alei Piłsudskiego. Wszystko, co piękne, jest pruską spuścizną, charakteru dodaje mu czerwona cegła, kamienne podmurowania i monumentalne, nieco przytłaczające, budynki. Krótki, acz jakże sugestywny obraz



Zygmunt Miłoszewski

GNIEW

budynku Pierwszego Liceum Ogólnokształcącego i skojarzeń, jakie ten budzi w prokuratorze Szackim, zasługuje na własną powieść.

Niemal masochistyczną przyjemność sprawiło mi czytanie o olsztyńskich inwestycjach i absurdach. W *Gniewie* znajduje się najpiękniejsza i najtrafniejsza jednocześnie analiza miłości naszych planistów do rozmachu (umożliwiającego obserwację stawianych obiektów nieuzbrojonym okiem z orbity okołoziemskiej) oraz kostki Bauma (zazwyczaj różowej). Znalazły się w nim również studia nad nietrafionymi udogodnieniami drogowymi i niekończącymi się modernizacjami, skutkującymi wiecznym zakorkowaniem ulic, które prócz budzenia morderczych instynktów (jak sądzę – nie tylko w prokuratorze Szackim) pozwalają również na kontemplację nierozmyślnie ironicznych reklam, szpecących przestrzeń publiczną. Uroczę są rozrzucone po całej powieści wskazówki, dokąd warto iść na kołduny w rosole, a gdzie można dostać dobrą kawę, czy gdzie znajdziemy najbardziej przestylizowaną i „warszawską” kawiarnię.

I właśnie za ten obraz mojego miasta, zmieniającego się w mniej czy bardziej udany sposób, wyrastającego z surowego pruskiego piękna niezniszczalnej czerwonej cegły, spowitego mgłą znad jedenastu jezior uwielbiam *Gniew*.

Zygmunt Miłoszewski, *Gniew*, Warszawa 2014, W.A.B.

KRZYSZTOF TANAJEWSKI



Tramwajem pod Wysoką Bramą (2014), akryl



Podróż nr 1 (2012), akryl

Ursaab och månen (2012), akryl

*...prace malarskie powstające pod wspólnym tytułem „Skrzydła i Motory” są opowieścią o ludziach i ich pasji... ludziach, którzy zapanowali nad swoimi maszynami, nad ich silnikami, oswoili ich moc, i dolewając paliwo do zbiorników dają im siłę, żeby robiły to, do czego są stworzone... pędziły, zostawiając po sobie tylko zapach dymu...
Ja ich nazywam Smokersami, czyli Dymiarzami...*

Krzysztof Tanajewski

Od urodzenia związany z Olsztynem. Współtwórca ruchu „Piękne Klasyki na Warmii” skupiającego właścicieli i miłośników klasycznej motoryzacji. Autor wielu wystaw łączących malarstwo z pasją do historii motoryzacji i lotnictwa.

Prowadzi w Paryżu cykliczne warsztaty malarskie z zakresu historii motoryzacji m.in. przy współpracy z Conservatoire Citroën, tworzy z uczestnikami warsztatów komiks „Historia Citroëna zaczyna się w Polsce”.

Autor prac inspirowanych historią Olsztyna, Warmii i Mazur.

Rallye Monte-Carlo 1965 (2014), akryl



Saint-Ex. Breguet XIV (2010), akryl



E jak Emmanuelle (2013), akryl

Kornelia Kurowska

Literackie spotkania, wędrowki i podróże z Borussią

Od początku istnienia Borussii literatura była jednym z najważniejszych obszarów naszej działalności programowej, a borussiańskie idee można było odnaleźć i odczytać i na łamach czasopisma „Borussia – Kultura – Historia – Literatura”, i na kartach wielu książek, wydawanych przez Stowarzyszenie Wspólnota Kulturowa „Borussia”. Literackie środowisko Borussii, tworzone przez olsztyńskich pisarzy i poetów było jednym z najbardziej rozpoznawalnych zjawisk literackich lat 90. w Polsce. W swojej działalności wydawniczej przybliżamy dorobek literacki pisarzy związanych nie tylko z regionem Warmii i Mazur, lecz także innymi regionami pogranicza w Europie.

Nowy etap w działalności środowiska olsztyńskiej Borussii, skupionego wokół stowarzyszenia i działającej od 2006 r. Fundacji „Borussia” przyniósł rok 2013, gdy po remoncie swoją działalność rozpoczął Dom Mendelsohna.

Dom Mendelsohna to dawna żydowska Bet Tahara (z hebr. dom oczyszczeń), którą przez 8 lat ratowaliśmy przed zapomnieniem i remontowaliśmy, adaptując do nowej funkcji. Już od pierwszych tygodni po remoncie 100-letni obiekt tłumnie odwiedzają mieszkańcy Olsztyna oraz goście z kraju i zagranicy, podziwiając pierwszą realizację słynnego architekta Ericha Mendelsohna, zachowaną w jego rodzinnym Olsztynie. W swojej nowej funkcji, jako Centrum Dialogu Międzykulturowego, Dom Mendelsohna jest miejscem wielu działań edukacyjnych dla dorosłych i młodzieży oraz wydarzeń kulturalnych: koncertów, wykładów, debat, wieczorów poetyckich.

Od wiosny 2014 r. Dom Mendelsohna został także miejscem na literaturę. Stało się to za sprawą cyklu działań organizowanych przez Borussię dzięki wsparciu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu „Promocja literatury i czytelnictwa”.

Na spotkania autorskie pod hasłem „Dom Mendelsohna – miejsce na literaturę” przyjechali do Olsztyna najbardziej uznani polscy pisarze: Krzysztof Varga, Hubert Klimko-Dobrzaniecki, Grażyna Plebanek, Paweł Smoleński, Andrzej Stasiuk, Olga Tokarczuk. Każde ze spotkań odbywających się w zabytkowych wnętrzach Domu Mendelsohna było pasjonującą rozmową autora z czytelnikami – o najnowszych książkach, literackich inspiracjach naszych gości, ale także o warsztacie ich pracy, podróżowaniu, w końcu – o czytaniu. Wieczory autorskie gromadziły tłumy czytelników, zainteresowanych możliwością rozmowy i spotkania z najbardziej utytułowanymi polskimi pisarzami, ale także ich tekstami: każdy wieczór autorski poprzedzało czytanie performatywne w wykonaniu młodych adeptów sztuki aktorskiej ze Studium Aktorskiego im. Aleksandra Sewruka w Olsztynie.

Co szczególnie cenne, w Domu Mendelsohna z literaturą spotykały się różne pokolenia olsztyńców – i dorośli, i młodzież, a nawet najmłodszy miłośnicy książek. Im poświęcone było wakacyjne spotkanie z pisarzem i podróżnikiem, Hubertem Klimko-Dobrzanieckim, autorem opowieści o misiu polarnym z Grenlandii *Bangsi*. W ramach cyklu „Dom Mendelsohna – miejsce na literaturę” uczniowie olsztyńskich szkół średnich wzięli udział w zajęciach warsztatowych na temat kreatywnego pisania, tworzenia własnych blogów literackich, metod szybkiego czytania, ale także poświęconych współpracy w grupie





Fot. Urszula Witkowska

i pracy projektowej. W swoich szkołach utworzyli „osady czytelnicze”, a na spotkaniach osad dyskutowali o przeczytanych ostatnio książkach i autorach odwiedzających Olsztyn.

Czytaniu, spotkaniom z autorami i ich książkami towarzyszyło wiele akcji promujących czytanie: wymiennalnie książek, literackie gry miejskie, które toczyły się w samym Domu Mendelsohna i w przestrzeni miasta. W akcje włączyli się też zagraniczni wolontariusze Borussii. Podczas czerwcowej akcji na Targowisku Miejskim czytali np. w oryginale fragmenty książek ulubionych pisarzy ze swoich krajów: Francesco z Włoch wybrał fragment *Wahadła Foucaulta* Umberto Eco, a Fabio – *Boską komedię* Dantego, Elli z Niemiec – rozdział z książki *Czik* Wolfganga Herrndorfa. Marysia z Ukrainy zdecydowała się przedstawić olsztynianom powieść *Rekreacja* Jurija Andruchowycza, Julie z francuskiej Bretanii – fragment *Małego Księcia*, Rici z Niemiec – *Corpus Delicti. Proces* – antyutopijną książkę autorstwa współczesnej pisarki Juli Zeh. Okazało się, że nawet zakupy na targowisku mogą być dobrą okazją do spotkania z literaturą, a zderzenie z codziennością przynosi dodatkowe inspiracje...

Udało nam się odkryć dla olsztynian wiele ciekawych miejsc na literaturę – cieszymy się, że jest wśród nich Dom Mendelsohna. Staraliśmy się też pokazać, że miejsc na spotkania z książką warto szukać w swoim najbliższym otoczeniu, że warto czytać i spotykać się z prozą i poezją na wiele twórczych sposobów. Projekt „Dom Mendelsohna – miejsce na literaturę” był realizowany we współpracy z Miejską Biblioteką Publiczną, Teatrem im. Stefana Jaracza, Poczta Książkową i toczył się od wiosny do grudnia 2014 r.

Jesień 2014 r. była w Borussii czasem podróży inspirowanych literaturą. Za sprawą swojej powieści *Nóż w wodzie* przyjechał do Polski Artur Becker, jeden z najciekawszych polsko-niemieckich autorów czasów współczesnych. Urodzony w Bartoszycach, w 1985 r. jako 17-latek wyemigrował wraz z rodzicami do Niemiec, by po bez mała trzydziestu latach wrócić w rodzinne strony jako jeden z najbardziej uznanych w Niemczech pisarzy pochodzących spoza niemieckiego kręgu kulturowego, laureat wielu prestiżowych nagród i wyróżnień. Ten literacki powrót Artura Beckera dokonał się dzięki serii wieczorów autorskich w Olsztynie i rodzinnych Bartoszycach, ale także w pięciu innych miastach Polski. Na zaproszenie Borussii i Goethe-Institut oraz instytucji



partnerskich (Nadbałtyckiego Centrum Kultury w Gdańsku, Centrum Herdera Uniwersytetu Gdańskiego, Towarzystwa Polska-Niemcy w Gdańsku, Towarzystwa Polsko-Niemieckiego w Gdyni, Biblioteki Pedagogicznej im. Władysława Spasowskiego w Białymstoku, Medioteki Języka Niemieckiego w Białymstoku, Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Olsztynie, Biblioteki Niemieckiej w Olsztynie, Miejskiej Biblioteki Publicznej w Bartoszycach oraz Domu Edyty Stein we Wrocławiu) Artur Becker spotkał się z czytelnikami w Warszawie, Krakowie, Gdańsku, Białymstoku oraz Wrocławiu, przedstawiając swoją powieść *Nóż w wodzie. Pieśń o topielcach* (tłum. Joanna Demko i Magdalena Żółtowska-Sikora, tytuł oryginalny *Wodka und Messer. Lied vom Ertrinken*). Książka ukazała się w borussiańskiej serii RE-MIGRACJE pod redakcją Aliny Kuzborskiej. Co ciekawe, także sam *Nóż w wodzie* traktuje o podróży – jest to bowiem opowieść o losach głównego bohatera powracającego w rodzinne strony na Warmii z emigracji. Książka Artura Beckera to również podróż w czasie, przywołuje bowiem okres przełomu w Polsce. *Tournée* Artura Beckera po Polsce zgromadziło wielu czytelników zainteresowanych charyzmatyczną postacią samego pisarza i jego literackim talentem, jego barwnymi powieściami o ludziach i miejscach na styku kultur i pograniczu starych i nowych czasów, znakomicie osadzonymi w polskich realiach, choć pisanych w języku niemieckim.

Wszystkich czytelników serdecznie zapraszamy do udziału w kolejnych literackich podróżach z Borussią!

Elżbieta Zakrzewska

Moja Młyńska

Część I: Nasza ulica

Tak się szczęśliwie dla mnie złożyło, że nie musiałam szukać towarzyszy zabaw dziecięcych poza swoją ulicą. O ile dobrze pamiętam, z jednego rocznika było nas siedmioro: cztery dziewczynki i trzech chłopców. Do tego co najmniej dziesiątka o rok starszych lub młodszych. Jak na tak niewielki obszar była to spora gromadka, czasem trudna do opanowania.

Każda z kamienic na Młyńskiej ma swoje podwórko, ale żadne z wyjątkiem podwórka jednej posesji nie było naszym miejscem zabaw, ponieważ zwyczajowo bawiono się tu na ulicy. Nikomu wtedy nie przyszłoby do głowy, że na ulicy może być niebezpiecznie. Przez Młyńską rzadko przejeżdżały samochody, więc można było grasować bez ograniczeń nawet po jezdni. Co prawda często kończyło się to „krwawym upadkiem”, ponieważ jezdnia składała się z samych „kocich łbów”, a asfalt został położony znacznie później. Jednak nie przeszkadzało to nam w grze w wojnę, w klasy, czy rozgrywkach w dwa ognie. Czasem wynosiliśmy z domu skromne wtedy zabawki: piłki, skakanki, lalki i wspólnie wymyśliliśmy zabawy. Jedną z nielicznych atrakcyjnych zabawek dla dziewczynek, jakimi wówczas dysponowaliśmy, był wózek dla lalek. Jeździliśmy nim po chodniku, w wejściach do budynków lub w korytarzach urządzałyśmy mieszkania i bawiłyśmy się w dom, gdy tymczasem chłopcy jeździli na rowerach i psocili nam. Jednak większość czasu spędzaliśmy, organizując wspólne zabawy. Każdy dzień zaczynał się i kończył tak samo. Po śniadaniu sprawdzało się, kto już jest na ulicy i zaraz do niego dołączali następni, aby od rana do wieczora – tylko z niewielką przerwą na obiad – buszować po Młyńskiej i okolicach. Wieczorem trudno nas było ściągnąć do domów. Po całodziennych harcach nasi rodzice załamywali ręce, bo wszystko, co na sobie mieliśmy, łącznie z nami, nadawało się do prania. Zwykle byliśmy tak wyczerpani, że mycie wykonywaliśmy prawie na śpiąco i padaliśmy w pościel, aby rano zacząć wszystko od początku.

W moim bardzo wczesnym dzieciństwie Działdowo często nawiedzali Cyganie. Pamiętam jak przez mgłę wozy cygańskie i czarnowłose kobiety w długich kolorowych sukniach, z brzęczącą biżuterią. Cyganie rozbijali na łąkach obóz i mieszkali tam przez kilka dni. W mieście było ich pełno. Cyganki chodziły po domach i proponowały wróżenie. Niejednokrotnie takie wizyty kończyły się kradzieżami. Nasze mieszkanie też kiedyś odwiedziły. Gdy mama była zajęta rozmową w korytarzu z jedną z nich, nagle zorientowała się, że druga buszuje już

w pokoju. Na szczęście udało się szybko pozbyć nieproszonych gości. Takich przypadków na naszej ulicy było wiele.

W okolicach Młyńskiej i Bielnikowej mieszkaly osoby o mazurskich korzeniach, które były wyznania ewangelickiego, więc na co dzień używały wielu zwrotów niemieckojęzycznych. Dziś nie pamiętam tych wyrażeń, ale „jo” utkwilo mocno w mojej świadomości. Było to chyba najczęściej spotykane powiedzenie na naszej ulicy. Tak się do niego przyzwyczailiśmy, że rodzice nawet nie odczuwali niestosowności w używaniu tego zwrotu przez dzieci. Co ciekawe, gdy rozpoczęłam naukę w szkole podstawowej, „jo” całkowicie zniknęło z mojego języka, mimo iż nikt nie próbował nawet oduczyć mnie stosowania tego zwrotu.

Nieodłącznym elementem życia naszej ulicy były starsze, tak nam się wtedy wydawało, sąsiadki, wyglądające godzinami przez okna lub siedzące u wejścia do kamienic z robótką w ręku. To były prawdziwe reporterki ulicznej rzeczywistości. One zawsze wiedziały, u kogo są goście, co mają na obiad sąsiedzi, czyj mąż w „stanie nieważkości” wrócił do domu. Gorzej! To od nich nasi rodzice dowiadawali się, gdy coś przeskrobaliśmy. Staraliśmy się więc trzymać z daleka od bystrego oka sąsiadek, bo – mówiąc oględnie – nie byliśmy z tymi paniami w najlepszych relacjach. Przyczyny naszej niechęci były oczywiste, natomiast my dla dociekliwych kobitek stanowiliśmy dopust boży, który zakłócał ich święty spokój i przeszkadzał w obserwacjach codziennego „reality show”.

Wśród starszych obywaterek naszych okolic jedna miała niezwykle zdolności. Była uliczną znachorką. Gdy ktoś źle się poczuł, wyrosły mu kurzajki lub doznawał innych dolegliwości, jej porady były niezawodne. Sąsiadki opowiadały, że głównym lekarstwem, które stosowała nasza miejscowa uzdrowicielka, było przystawianie pijawek. Szczególnie dobrze skutkowały przy uporczywych bólach głowy. Gdy się o tym dowiedziałam, zrozumiałam, dlaczego wiele kobiet z naszych okolic nosiło chustki na głowie. Po prostu po zastosowaniu pijawek przez pewien okres na czole pozostawały ciemne ślady. Słyszałam historię, jak jedna z pań udała się do znachorki, ponieważ dokuczał jej ból oka. Gdy wyjaśniła, z jaką dolegliwością przychodzi, znachorka wyjęła z pukla swoich włosów spinkę – moja babcia mówiła na taki rodzaj ozdoby „arnatel” – i, posługując się nią jak narzędziem lekarskim, zaczęła grzebać w oku pacjentki. Kobieta była tak oszołomiona

odwagą, a także sprawnością zachorki, że nawet nie zaprotestowała, gdy niezdezynfekowany przedmiot dotknął jej oka. Natomiast zachorka, wykazując wielką wprawę, wywinęła raz i drugi spinką w gałce ocznej, po czym stwierdziła, że już po wszystkim, dolegliwość została usunięta. I rzeczywiście tak się stało. Pacjentka stwierdziła, że dyskomfort minął. Dziś osobę, która zdecydowałaby się na taki rodzaj pierwszej pomocy, uznano by za co najmniej nierozumną. Bez zachowania podstawowych warunków higieny, odpowiedniego sprzętu, leków, kwalifikacji było to podejmowanie niepotrzebnego ryzyka. Mimo że od tamtego czasu nie upłynęło aż tak dużo lat, jednak świadomość ludzi uległa wielkiej przemianie.

Tak samo trudno dziś wyobrazić sobie, że na kilka dni cała ulica może zostać odcięta od dopływu wody. Jednak było to zjawisko całkiem częste przed laty. Dzisiaj, owszem, czasami są takie przypadki, że pęknie rura, czy zdarzy się inna awaria, która pozbawia nas wody, ale nie trwa to dłużej niż kilka godzin. Natomiast z mojego dzieciństwa pamiętam takie przypadki, że cała nasza ulica i pobliskie były odcięte od wody przez kilka dni. Przyjeżdżał wtedy beczkowóz i ustawiała się kolejka mieszkańców z wiadrami i różnymi pojemnikami na wodę. O ile pamiętam, był ustalony limit, aby wody starczyło dla wszystkich. Stanie w kolejce sprzyjało nawiązywaniu sąsiedzkich stosunków albo pogarszaniu ich w zależności od tego, jakie nastroje panowały wśród oczekujących. W każdym razie była to okazja do wzajemnych obserwacji i dowiadywania się czegoś nowego o sobie i sąsiadach. Zwykle wśród czekających snuły się opowieści typu „kto, komu i dlaczego”, co w konsekwencji prowadziło do wielu nieporozumień. A wody jak nie było, tak nie było.

Wróćmy jednak do beztroskiego spędzania czasu przez najmłodsze pokolenie mieszkańców najstarszej części miasta.

Podczas ładnej pogody schodziliśmy w dół ulicy Bielnikowej na łąki. Tam nikt nas nie upominał, że hałasujemy, nikt nie obserwował naszych szaleństw i nie było okazji, żeby zwracać nam uwagę, że coś jest nie tak. A było, oj było!

Bardzo lubiliśmy grać w piłkę, a zabaw z jej wykorzystaniem było wiele. Dziś mało kto pewnie pamięta grę w kolory, imiona, zabawę „piłka parzy”, czy odbijanie piłki o ścianę i wykonywanie przy tym różnych ewolucji. Zwykle rzucaliśmy piłką o mur niskiego budynku, który miał mało okien, więc nie było niebezpieczeństwa, że wybijemy szybę. Jednak nasza przezorność nie przemawiała do sąsiadów, którzy tam mieszkali i bardzo przeszkadzał im odgłos piłki łomoczącej o ścianę. Byliśmy więc ciągle zmuszeni do poszukiwania nowych miejsc naszej zabawy.

Pewnego popołudnia wraz z innymi dziewczynkami bawiłyśmy się piłką, gdy nagle usłyszałyśmy wołanie z okna pierwszego piętra jednej z kamienic. To krzyczał nasz kolega, który przez nieuwagę swojej rodzicielki został zamknięty na klucz w domu. Nudził się bardzo i obserwował nas przez okno. Widział, że gramy w piłkę, więc zaproponował, abyśmy rzuciły piłkę do niego na pierwsze piętro, a on będzie ją

odrzucił. Zrobiliśmy sobie zawody w celności rzutów i było bardzo fajnie, i wesoło, dopóki nasz kolega nie stracił zgrabności w łapaniu – choć może to któraś z nas nie utrafiła piłką w jego ręce – i w rezultacie piłka wylądowała na szybie sąsiedniego okna. Szybka oczywiście posypała się w drobny mak. Kolega w oknie zbaraniał, a my wystraszone rozpierzchłyśmy się na wszystkie strony. Z okna obok wychyliła się sroga twarz sąsiada naszego przyjaciela. Okazało się bowiem, że przerwałyśmy mu poobiednią drzemkę. Nie będę opowiadać, jak bardzo był rozsierdzony tym faktem, a gdy zorientował się, co spowodowało wyrwanie go ze snu, byliśmy całkowicie ugotowane. Najbardziej bałyśmy się, że wieść o naszym wyczynie trafi do rodziców, więc próbowałyśmy załagodzić sytuację. W mgnieniu oka podjęłyśmy decyzję i zarządziliśmy „rzutę na szklarza”. Każda wyciągnęła z kieszeni to, co miała przeznaczone na lody, ale i tak było za mało. Musiałyśmy niestety udać się do rodziców z prośbą o finansowe wsparcie. Wszystko się wydało i rodzicielskim kazaniom nie było końca, nie mówiąc o tym, że przez kilka najbliższych dni o lodach mogłyśmy tylko pomarzyć.

Zwykle „podczas deszczu dzieci się nudzą” – ale nas to nie dotyczyło. Zbieraliśmy się wtedy u kogoś w domu, najlepiej u tych kolegów, których rodzice byli w pracy. I tu dawaliśmy upust swojej pomysłowości. Tak się jakoś dziwnie składało, że częstym elementem naszych zabaw była szafa lub tapczan. Moi koledzy uwielbiali zawody polegające na tym, kto dalej skoczy z szafy. Na szczęście mebel na tym nie ucierpiał.

Jak już wspomniałam, po naszej ulicy rzadko jeździły samochody, a o tym, aby być właścicielem takiego pojazdu, mało kto śmiał marzyć. Dzieci nie znały uczucia, jak to jest przejechać się samochodem, bo mało które miało okazję, aby choć posiedzieć w aucie, toteż wielkim wydarzeniem dla nas był przyjazd wujka naszej starszej koleżanki, który posiadał dwa atuty podnoszące jego wartość w naszych oczach. Po pierwsze był księdzem, po drugie posiadał samochód. Był właścicielem popularnej wtedy „syrenki”. Szczercze powiedziawszy, nie tylko dzieci podziwiałały auto, ale również ich rodzice z uznaniem spoglądali na nie oraz na jego posiadacza, z którym często dyskutowali o zaletach bycia kierowcą. Wujek koleżanki był człowiekiem przyjaznym i wielkodusznym. Nie dość, że przyjaźnił się z naszymi rodzicami, to również nam poświęcał wiele uwagi. Największą i najprzyjemniejszą niespodzianką, jaką nam zrobił, była wycieczka samochodem po mieście. Było tak dużo chętnych, że musieliśmy podzielić się na dwie grupy (a może nawet na trzy), bo wszyscy na raz nie zmieścilibyśmy się do dwudrzwiowej „syrenki”. Przejazdka była dużą przyjemnością i długo wymienialiśmy się wrażeniami z tego niecodziennego dla nas wydarzenia.

Jedną z naszych ulubionych rozrywek była zabawa w chowane-go. Mieliśmy do tego świetne warunki, ponieważ na Młyńskiej i sąsiednich ulicach znajdowały się kamienice z podwójnymi wejściami – od podwórka i od ulicy. Ukrywaliśmy się w korytarzach, a nawet

w piwnicach, aby – korzystając z drugiego wyjścia – zniemacka pojawić się w punkcie rozpoczęcia zabawy i „zaklepać się”, co oznaczało, że wygrało się z osobą szukającą. Jednak tylko z pozorów wyglądało to tak prosto. Już samo znalezienie się w korytarzu obcej kamienicy, czy szukanie kryjówki w piwnicy wymagało nie lada odwagi. Po pierwsze można było natknąć się na lokatora domu, który zwykle stanowczo okazywał swe niezadowolenie z buszowania obcych po swoim terenie. Stąd nie każdy z graczy w chowanego ośmielał się na taki wyczyn. Co więcej, krążenie po zwykle ciemnym, nieznanym sobie miejscu nie należy do przyjemności, bo nie wiadomo, na jakie przykre niespodzianki można się natknąć. Dziewczynki najbardziej obawiały się myszy albo co gorsza szczurów, chociaż nigdy tych „potworów” na swojej drodze nie spotkały. Poza tym już samo przebywanie na takim terytorium było raczej mało przyjemnym doznaniem. Podczas zabawy bardzo popularne było używanie różnych rymowanych wylizanek. Przy zbieraniu chętnych do zabawy osoba prowadząca, trzymając wysoko uniesioną dłoń palcami skierowanymi na dół, wołała:

„Palec pod budkę,
Bo za minutkę
Zamykamy budkę.
Minutka minęła,
budka się zamknęła”.

Następnie trzeba było użyć innej wylizanki, aby wybrać osobę, która pierwsza będzie szukała. I tu stosowało się, na przykład, taką rymowanąkę:

“ene, due, like, fake,
torba, borba,
usme, smake,
eus, deus, kosmateus,
a morele baks!”.

Na kogo wypadła ostatnia sylaba, ten pierwszy szukał.

Albo recytowało się następną wylizankę:

„Siedzi anioł w niebie,
pisze list do ciebie,
jakim atramentem?”

(tutaj wskazana osoba mówiła jakiś kolor, który literowało się, aby wskazać osobę, która „wypadła”) Dalej szukający ogłaszał początek chowania się i wykrzykiwał:

„Pałka, zapałka, dwa kije.
Kto się nie schowa, ten kryje.
Raz, dwa, trzy,
Baba Jaga pa-trzy!”.

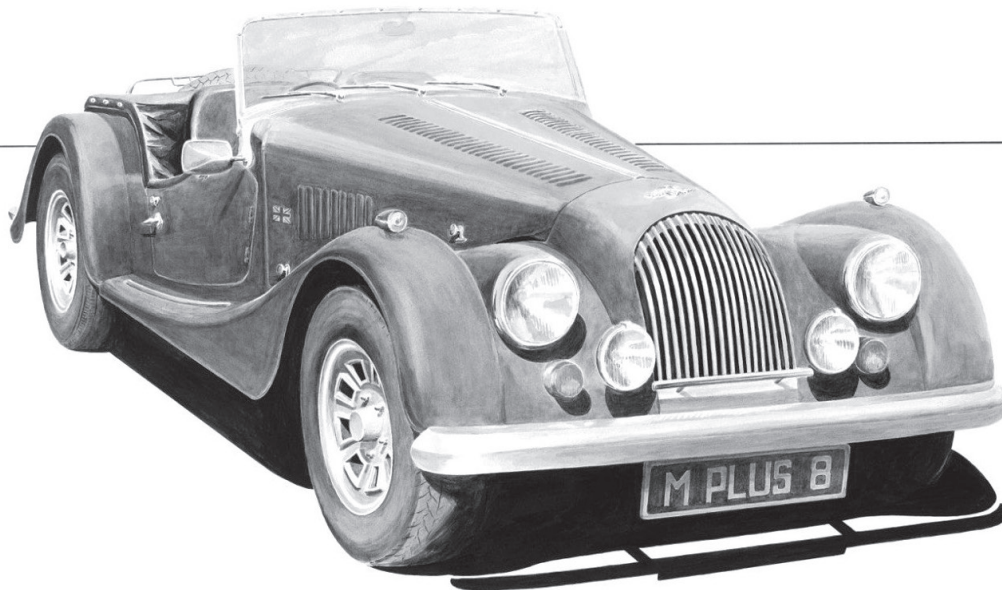
Jednego razu w trakcie zabawy zaginął nam kolega. Podczas gdy wszyscy uczestnicy gry w chowanego zostali odnalezieni, jego ciągle nie było. Najpierw sądziliśmy, że tak świetnie się ukrył i myśli, że zabawa jeszcze trwa, więc nie opuszcza kryjówki. Jednak gdy nie pojawiał się przez dłuższy czas, stwierdziliśmy, że należy go poszukać. Zagląaliśmy w różne zakamarki, wołaliśmy, jednak nie było odzewu. Zaczęliśmy pytać innych na ulicy, czy go nie widzieli, i wtedy trafiliśmy

na trop. Jedna z młodszych od nas dziewczynek pokazała bramę, w której po raz ostatni był widziany. Podwórko za bramą było dość okazałym obszarem, gdzie często bawiliśmy się. Znajdowały się tam wejścia do trzech domów. Jeden z nich był nam szczególnie znany, ponieważ mieszkało tam rodzeństwo – towarzysze naszych zabaw. W drugim domu mieściły się jakieś biura, a trzecim była dość spora kamienica, w której mieszkało wielu lokatorów, w tym rówieśnicy, nie zaliczających się do naszych sprzymierzeńców. Przechodząc korytarzem tej kamienicy, można było dostać się do rynku. Często korzystaliśmy z tego skrótu w naszych wyprawach do miasta. Pomyśleliśmy więc, że nasz poszukiwany kolega na pewno w tej kamienicy znalazł sobie kryjówkę. Zeszliśmy w dół korytarzem do piwnicy i zaczęliśmy nawoływać go półgłosem. Ku naszej uldze usłyszeliśmy po chwili odzew. Ruszyliśmy w kierunku głosu i dotarliśmy pod drzwi jednej z piwnic. Okazało się, że nasz przyjaciel został złapany w pułapkę przez jednego ze starszych chłopaków mieszkających w tym domu, który – aby dać mu nauczkę za włóczenie się po cudzych piwnicach – po prostu go w jednej zamknął. Kolega najadł się strachu, a my musieliśmy coś wykombinować, aby go uwolnić. W rezultacie poszliśmy do właścicieli piwnicy i poprosiliśmy o wypuszczenie więźnia. Od tego momentu osłabła nieco nasza ochota do szukania kryjówek w cudzych piwnicach, ale zabawy w chowanego nie zaniechaliśmy.

Bardziej zróżnicowaną odmianą gry w chowanego były podchody. Dzieliłiśmy się na grupy uciekających i tropiących, wyznaczaliśmy sobie teren zabawy, który oprócz okolic Młyńskiej obejmował zwykle rynek i ulicę Wolności. Uciekający zostawiali ślady w postaci strzałek oraz listy, w których były zadania do wykonania dla grupy tropiących. Czasami zadania zapisane były szyfrem, więc długo trwało, zanim się je odcyfrowało. Ich wykonanie też przysparzało niekiedy problemów. Kiedyś, na przykład, jedna z drużyn miała za zadanie przynieść surowe jajko. Skąd je wziąć? Poprosić mamę? Raczej nie, bo skomentowała by, że się nas głupoty trzymają. Kupić w sklepie? Też nie bardzo, bo groszem nikt nie śmierdział. Pozostawało polegać na swoim sprycie. Podczas gdy jedna osoba zagadywała rodzicielkę kolegi, przebiegła latorośl wyniosła jajko z kuchni. Oczywiście po zabawie jajko miało wrócić na miejsce, jednak wskutek nieszczęśliwego wypadku uległo stłuczeniu. Na szczęście mama kolegi nie była drobiazgową i nie doliczyła się braku jednej sztuki.

Zabawa w podchody była naprawdę bardzo wciągająca, ale wymagała dużej pomysłowości i czasu na jej rozegranie, toteż rzadko się w nią bawiliśmy. Natomiast chłopcy chętnie grali w kapsle, urządzając sobie wyścigi na piasku lub chodniku. Dziewczynki rzadko włączały się w tę grę. Gracze rysowali na chodniku lub ubitej ziemi tor, po którym poruszały się kapslowe pojazdy. Na trasie przygotowywali przeszkody w postaci slalomów, czy skoczni. Kapsle posuwano pstryknięciem i zwyciężał ten, który w najszybszym czasie osiągnął metę.

Któregoś lata na naszej ulicy przy niskim murku obok starej zabytkowej kamienicy usypano górkę piasku i postawiono jakieś sprzęty murarskie. Okazało się, że będzie wyburzany stary dom, w którym



ANTONI LETKI 2014

znajdowała się piekarnia, natomiast na jego miejscu od strony rynku stanie gmach banku. Jednak przez wiele dni nic się nie działo, więc dzieciaki z ulicy wzięły górkę z piaskiem w swoje posiadanie. Każdego ranka najpierw pojawiało się młodsze pokolenie Młyńskiej z wiaderkami i łopatkami, a górka stała się uliczną piaskownicą. Po południu i wieczorem teren ten okupowały nastolatki. Nie było tam przecież nic nadzwyczajnego, a jednak było to ulubione miejsce ich spotkań. Oprócz rozmów, jakie tam miały miejsce, odbywały się również ćwiczenia sportowe. Najczęściej były to zawody w skokach – kto dalej skoczy z murku na piasek. Po naszych wyczynach górka piasku robiła się coraz niższa, ale za to zajmowała coraz więcej powierzchni. Któregoś ranka pojawili się ludzie ze sprzętem do wyburzania. Zrobiło się tłoczno, bo dzieciaków z ulicy oczywiście nie mogło tam zabraknąć. Najpierw zaczęto wynosić sprzęty z piekarni, a wśród nich resztki pozostałych wypieków. Po ulicy poniewierały się całe „arkusze” wafli, z których dzieciaki wybierały co lepsze kawałki i zjadały się nimi. A później młodszych przegoniono stamtąd, rozległ się wielki huk, nad ulicą powiało kurzem i budynek starej piekarni przestał istnieć.

W zabawach polegaliśmy zwykle na własnej pomysłowości, ale od czasu do czasu korzystaliśmy z form, które proponowało miasto. Raz do roku przyjeżdżał do nas cyrk. Każdemu dzieciakowi zależało, aby dostać się na przedstawienie. Na szczęście zakłady pracy kupowały bilety dla swych pracowników i ich rodzin, i w ten sposób duża grupa

mogła zobaczyć występy cyrkowe. Wtedy wydawały się one niezwykle atrakcyjne. Zachwycała tresura dzikich zwierząt, pokazy akrobatów, dowcipy kłownów i wspaniała cyrkowa orkiestra. Trudno je porównać do przedstawień, które dziś oferują nam cyrkowcy odwiedzający nasze miasto kilkakrotnie w ciągu roku, ale niestety trzeba stwierdzić, że te obecne prezentują bardziej okrojony repertuar. Podobnie było z wesołym miasteczkiem. Nie było wtedy większej atrakcji, jak karuzela, gabinet z lustrami, strzelnica i możliwość kupna waty cukrowej. Dziś wesołe miasteczka straszą pustką, zamiast sprawiać przyjemność.

Kiedyś latem, gdy siedzieliśmy sobie gromadką na ulicy, podeszła do nas jakaś obca pani i zrobiła nam zdjęcie. Powiedziała, że stanowiliśmy taką malowniczą grupę, że nie mogła się oprzeć, aby nas nie sfotografować. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, kim była ta osoba i gdzie trafiło nasze zdjęcie.

Innym razem w naszym mieście przebywała grupa artystów malarzy. Gdy wracali z pleneru znad rzeki, ktoś z nich głośno stwierdził, że idą niezwykle urokliwą ulicą, a wtedy jedna z naszych sąsiadek powiedziała: „Oczywiście, właśnie taka jest nasza ulica”. I tamtego lata powstał obraz przedstawiający ulicę Bielnikową, a zatytułowany został „Nasza ulica”. Niestety, nie mam pojęcia, gdzie się znajduje i kto jest jego autorem.

Stanisław Czachorowski

O podróżach i obcych

Obcy w kulturze i przyrodzie podobne wywołują reakcje. Czasem przynoszą ożywcze idee, ubogacają i rozwijają naszą kulturę (lub ekosystemy), czasem doprowadzają do wymieniania rodzimych gatunków i niszczenia lokalnej kultury. Jak zatem patrzeć na obcych? Pamiętając, że raz to my jesteśmy goszczącymi turystów tubylcami, a innym razem – przyjezdnymi i obcymi.

W podróży spotykamy ludzi i... różne gatunki wirusów, bakterii, roślin, grzybów i zwierząt. Nie zawsze te spotkania są dla nas radośnie i nie zawsze okazjonalne i krótkotrwałe. W zamierzony lub niezamierzony sposób przenosimy gatunki z jednego miejsca na drugie. Ostatnio w naszym kraju pojawił się niezwykle wyglądający grzyb – okratek australijski. Niezbyt przyjemnie pachnie – co jest cechą charakterystyczną dla sromotników (np. sromotnik bezwstydnny) – i wygląda jak czerwona, mała ośmiornica, leżąca w trawie. Do Europy grzyb ten trafił w formie zarodników, na butach australijskich żołnierzy, którzy przybyli na front pierwszej wojny światowej. Od stu lat po-woli rozprzestrzeniła się po Europie. Na razie chyba nie szkodzi.

Nawet nie zdajemy sobie sprawy, że ponad 30% gatunków roślin, które widzimy wokół siebie, to przybysze. Dawniej o wiele śmielej przynosiliśmy gatunki z jednego kontynentu na drugi. Mamy przecież ziemniaki, pomidory, kukurydzę. Ale niechcący przewozimy choroby, szkodniki, czy chwasty, z którymi potem zmagamy się przez wiele lat. Takie przypadki uczą nas ostrożności w stosunku do obcych. Dawnych przybyszów już zaakceptowaliśmy i wrosli się w nasz krajobraz kulturowy, nowi migranci często nas przerażają. Tak jak stonka ziemniaczana, stonka kukurydziana, biedronka azjatycka, nawłóć kanadyjska, barszcz Sosnowskiego i setki innych inwazyjnych gatunków obcych. Za sprawą przybyszów giną nasze rodzime gatunki, takie jak rak szlachetny, czy pocziwa biedronka siedmiokropka. Boimy się więc o swoją, unikalną i niepowtarzalną bioróżnorodność.

Nie każdy przybysz zapowiada coś dobrego. Czasem zwiastuje problemy. Już zapomnieliśmy, że byliśmy krajem malarycznym. Szczęśliwie udało się nam całkowicie pozbyć zarodźca malarii z naszego kraju. Ale z podróży zagranicznych niektórzy wracają chorzy na malarię. Mamy w kraju kilka gatunków komarów, które mogą być roznosicielem tej choroby. Wystarczy spotkanie z chorym... by na trwałe ponownie przenieść zarodźca do naszych ekosystemów.

Migracje w przyrodzie są czymś naturalnym, tak jak wymieranie gatunków. Podobnie jest w kulturze. Ciągłe docierają do nas

nowi ludzie, nowi przybysze. Przynoszą nowe trendy i nowe mody. Ubogacają, zmieniają, a czasem... niszczą lokalną kulturę. Sceptycznie i wrogo odnosimy się do „nowych”, czego przykładem jest „warszafka”. Odwzajemniamy tylko niechęć i pogardę, skierowaną do „prymitywnych tubylców”? A może to my z obawy o swoje wpływy i zasiedzane stanowiska witamy ich wieloletnią niechęcią? Tak jak w stosunku do licznej grupy artystów z okolic Jonkowa, traktowanych jako „aliantów”. Niektórzy wracają po latach zagranicznych wojaży, tak jak Warmiak Edward Cyfus. Swoją i obcy zarazem. Inni przyjeżdżają z daleka, po raz pierwszy, tak jak Ślązaczka Eleonora Toś z Kaflarni Warmińskiej, czy Rafał Mikułowski, który osiadł pod Jezioranami. Przykładów jest bardzo dużo, w tym ludzi wolnych zawodów, zamożnych, którzy szukają inspirującego spokoju do twórczości i pracy.

Bać się obcych? Izolować? W zasadzie jesteśmy regionem niedawnych przybyszów. Jeszcześmy się na dobre nie zakorzenili, nie zintegrowali, a już dociera do nas zupełnie nowa fala. Osiedlają się ludzie z dalekich miast, a nawet krajów. Czasem wrastają w społeczności lokalne, a czasem dość długo żyją w izolacji i niejako w odosobnieniu. Są tuż obok a zarazem bardzo daleko.

Jesteśmy regionem wyludniającym się, bez pracy i przyszłości, z częstym marazmem w małych wioskach i miasteczkach. Nic, tylko pić tanie wino lub emigrować za chlebem. Ale to właśnie ci nowi bardzo często są zarysem zmian i nowej energii. Po prostu nie wiedzą jeszcze, że nic się nie da... i pełni zapału zmieniają najbliższe otoczenie. Być może są ożywczą solą ziemi.



Il. Antoni Letki

Jedenasta Planeta ma już 10 lat

Biblioteka, w której można wypożyczyć najnowsze filmy, czy pograć na konsoli. Biblioteka, w której teledysk kręcił zespół Enej. Biblioteka, w której młodzież rapuje Tuwima. Biblioteka, która co tydzień ma własny program w radiu. Tak... to Planeta 11.

Już dziesięć lat minęło odkąd w Olsztynie otworzono zupełnie innowacyjne miejsce, czyli bibliotekę multimedialną dla młodych Planetę 11. To, co teraz wydaje się już oczywiste, wtedy wcale takie nie było. Np. kolejki do kawiarenki internetowej. Teraz dostęp do sieci jest już znacznie powszechniejszy. Podobnie z kasetami VHS, jeszcze na początku można było je wypożyczyć. Teraz jest już tylko DVD i Blu-ray. Przez te 10 lat wypożyczono niemal 2 miliony zbiorów i chętnych wciąż nie brakuje. Wystarczy zobaczyć, co dzieje się, gdy pojawia się nowy film. Jeszcze tego samego dnia jest już niemal 20 osób w kolejce.

W Planecie 11 można wypożyczyć książki, filmy, muzykę, czasopisma. Dynamicznie rozwija się też dział „książek mówionych”, czyli audiobooków, oraz gier. Szczególnie popyt na te ostatnie rośnie. Możliwość dostania najnowszej FIFY, czy Grand Theft Auto, sprawiają, że coraz więcej osób woli wypożyczyć grę niż kupować nową. Po prostu bardziej się to opłaca.

Planeta 11 to też bibliotekarze, czyli „planetarianie”. Siłą zespołu jest jego różnorodność. Każdy ma inne zainteresowania i pasje. Są to ludzie otwarci na nowości i kreatywni. Swoje umiejętności wykorzystują, organizując m.in. szkolenia, lekcje biblioteczne, czy ciekawe

imprezy. Nie zawsze typowe, często mniej standardowe – jak bieg przebiegaczy „Copernicus Run”, warsztaty rapowania wierszy „Literatornia”, czy przegląd zespołów muzycznych „Planetafest”.

Młodzież to grupa docelowa biblioteki. Jednym ze sposobów na lepsze poznanie jej oczekiwań jest projekt „Młodzi chcą”. Jest on aktualnie realizowany i w związku z tym odbywają się warsztaty oraz spotkania z młodzieżą gimnazjalną. Jednym z punktów jest debata, w której młodzież rozmawia z ludźmi, którzy ją interesują, np. sportowcem, urzędnikiem, czy muzykiem. Z projektu powstanie publikacja i krótki film, który będzie można obejrzeć na kanale YouTube.

Dodatkowo warto odwiedzić profil na Facebooku. Tam na bieżąco można dowiedzieć się o nowościach, imprezach, ale też wziąć udział w różnych konkursach. A Planeta 11 dba o nagrody, więc oprócz książek, czy abonamentów do biblioteki, można też wygrać bilet do kina, teatru czy na mecz piłkarski.

W najbliższej przyszłości Planeta 11 planuje jeszcze większą ofertę dla młodzieży oraz pracuje nad kilkoma niestandardowymi projektami, które – mamy nadzieję – uda się zrealizować. Wszystko zależy też od budżetu, bo niestety jest to chyba największa bolączka bibliotek. Jednak planetarianie nie raz udowadniali, że mają pomysły i nawet bez większych nakładów finansowych potrafią je realizować. Liczymy więc na wiele odwiedzin i nowych czytelników. Jeśli jeszcze nie byliście w Planecie 11, to najwyższy czas to zmienić!



Warsztaty Zębatka. Fot. archiwum MBP w Olsztynie



I Festiwal do Czytania. Fot. archiwum MBP w Olsztynie

Justyna Artym

Olsztyński Literacki Miesięcznik Mówiony

Zaczęło się skromnie. Hania Brakoniecka, której przyspiewywałam czasem na wieczorach autorskich, poprosiła mnie, żebym na kolejnym, oprócz piosenek, zaprezentowała ze trzy swoje teksty. To był czerwiec 2013 roku.

Tematem była Miłość. Na spotkanie w Antykwariacie Izy Walesiak, nagłośnione tylko wśród przyjaciół, przyszło może z siedem osób. Ale odzew był fantastyczny. Jeszcze długo siedzieliśmy i dyskutowaliśmy, dochodząc do wniosku, że musimy się spotkać ponownie, może za miesiąc? Burzliwe rozmowy nadały kierunek następnemu spotkaniu – Feminizm. Tym razem postanowiliśmy zaprosić więcej pisarzy. Przyszła Tamara Boćdak-Janowska, Urszula Kosińska, a nawet męski rodzynek – Wojtek Hieronymus Borkowski. I tyle ludzi, że nie mieścili się w malutkim Antykwariacie, musieli stać na zewnątrz. Dlatego sierpniowe spotkanie, pod zuchwałą egidą Śmierci, postanowiliśmy zrobić na bogato. Jak się bawić, to się bawić. Nawiązałyśmy współpracę z Gosią Sieniewicz z Tajemnicy Poliszynela. Efekt? Dwie stacje radiowe, Telewizja Polska, portale internetowe. Czytanie zorganizowałyśmy przed księgarnią. Wyniosłyśmy wszystkie krzesła i ciągle brakowało, wpadłam na pomysł, żeby przytargać kolorowe drewniane skrzynie, na których latem Poliszynel handlował książkami.

Od początku naszą ideą było łączenie: nestorów z młodymi, sławnych z debiutantami, mistrzów z uczniami. Ten cud udawał się przez długi czas. Tak różne osobowości, także te ścierające się prywatnie, występowały na jednej scenie! Ludzie piszący, tak przecież egotyczni, z radością przychodzili na wspólne święto czytania, gdzie nikt nie był najważniejszy.

Pewnego dnia szanowny małżonek Hani, wielki poeta Kazimierz Brakoniecki, powiedział: „Występujcie raz na miesiąc. Każde spotkanie ma własny temat, robicie przekrój przez różne gatunki literackie, macie i wielkich, i początkujących – a w Olsztynie nie ma pisma literackiego... nazwijcie się Miesięcznikiem Mówionym!”. Mimo mojego początkowego buntu, ponieważ wysoko sobie ceniłam naszą niezależność, zgodziłam się przyjmując pomysł naszego ojca chrzestnego. I tak wrześniowe spotkanie zostało ogłoszone debiutem Miesięcznika. Znowu przyszły media, a nasz magazyn mówiony, przy obowiązkowej lampce wina, zaczął się na dobre.

I ruszyłyśmy! Co miesiąc w innej lokalizacji, z inną muzyką, wszystko w klimacie danego numeru. Pierwszy numer zaczął się od Snów w Klubie Środowisk Twórczych, z oniryczną muzyką Przemka Mrozowskiego i Zofii Bartoszewicz. W październiku oddaliśmy głos Dziecku – siedzieliśmy grzecznie na kolorowych matach i malutkich

krzeselkach w przeuroczej Księgarni dla Dzieci za Rogiem Dominiki Radaszewskiej, która włączyła kolorowe światełka i co jakiś czas ochoczo spryskiwała nas bańkami mydlanymi. Wiersze dla dzieci w swojej magicznej interpretacji śpiewała dla nas Ania Broda. W listopadzie ugościł nas ojciec chrzestny, tym razem jako ojciec dyrektor Centrum Francusko-Polskiego. Temat, specjalnie dla niego, brzmiał „Ja!”, a autorskie piosenki zaprezentował Łukasz Jędrys. Styczeń 2014 roku zaczęliśmy od Wody jako symbolicznego prapoczątku, w Awangardzie Bis. Płynnymi dźwiękami muzyki elektronicznej oczarował nas znakomity Wojciech Kobus. W lutym była Muzyka – a jakże, na deskach Filharmonii Warmińsko-Mazurskiej, a zachwycające recitale dali uczniowie Szkoły Muzycznej. W marcu zjawiliśmy się w Auli Wydziału Humanistycznego UWM, gdzie fragmenty zmysłowego spektaklu „Symptomy” zaprezentowali Agnieszka Kołodźńska i Jarek Kordaczuk, do tematu, rzecz jasna, Erotycznego. Po tak szacownych lokalizacjach przyszedł czas na kameralne posiedziny. Zagłębiliśmy się w przytulnych fotelach Si Si Coffee i przy dźwiękach gitarowych improwizacji Mustanga słuchaliśmy tekstów pod hasłem Kocham. A w czerwcu, gdy już się ociepliło, przywitaliśmy Miasto – na Ulicze Sztuki przed Starym Zaułkiem, z charakterystycznym zachrypniętym głosem prawdziwego ulicznego grajka, Marcina Deptuły.

Co najbardziej niezwykle, przez cały ten rok zachowałyśmy zupełną niezależność. Nie byłyśmy przez nikogo finansowane. Nie wiązały nas żadne układy. Licząc trzy pre-Miesięczniki, dwanaście razy wspaniali właściciele kawiarni, księgarni i knajp, osoby związane z ośrodkami kultury i edukacji gościli nas zupełnie za darmo. Dwanaście razy muzycy zgadzali się z nami wystąpić bez grosza honorarium, dla samej radości uczestniczenia w spotkaniu. Dwanaście razy udało nam się zgromadzić olsztyńskich piszących, i tych wielkich, i tych małych.

Była to dla nas fascynująca podróż: przez tematykę tekstów, przez muzyczne krainy, przez miejsca – niektórych z nich nie ma już na mapie Olsztyna. Jak to w podróży bywa, towarzyszyło nam wiele osób, niektórzy zjawili się raz, inni szli z nami dłużej. I chyba nawet nie zauważyliśmy, kiedy zdążyliśmy się w tej drodze naprawdę zaprzyjaźnić.

Bardzo dużo zyskałyśmy w tej podróży. Mamy nadzieję, że Wy także. Cieszymy się, że dla niektórych z Was Miesięcznik okazał się początkiem twórczej drogi i pracy nad swoim talentem. Radujemy się każdym publicznym debiutem, który miał miejsce właśnie u nas. Jesteśmy pełne szacunku do wspaniałych i uznanych pisarzy, którzy nie tylko nie wstydziły się występować razem z amatorami, ale jeszcze

Hanna Brakoniecka

Przeptywy senne*



Fot. archiwum „Miesięcznika” i WBP w Olsztynie

w cudownych słowach zachęcali nas do dalszego działania. Czujemy się zaszczycone, że w Olsztynie, gdzie tak trudno jest zebrać ludzi na jakiegokolwiek wydarzenie kulturalne, chcieliście do nas przychodzić i być z nami.

Ten rok był także pracowity. Ale patrząc wstecz, widzimy, że było warto. Zrobiliśmy coś, czego nie robił nikt wcześniej. Zaryzykowałyśmy, ponieważ jedni poczuli tę formułę, inni nie. Ale, niczym Frank Sinatra w „My Way”, możemy powiedzieć z całą pewnością, że zrobiliśmy to po swojemu, tak jak chcieliśmy, i mimo że nie uniknęłyśmy błędów, jesteśmy szczęśliwe.

Dziękujemy wam wszystkim. Dziękujemy goszczącym nas miejscom. Dziękujemy muzykom. Ilustratorkom – Ewie Letki i Terri Ble. Beacie Bociek za stałą współpracę przy plakatach. Dziękujemy hejterom i tym, którzy kierowali do nas słowa wsparcia i pokazywali, że to, co robimy, jest potrzebne. A przede wszystkim dziękujemy autorom tekstów i słuchaczom – ponieważ to wy, nadawcy i odbiorcy, nadajecie sens koordynowanym przez nas komunikatom.

To nasze spotkanie raz w roku bardzo nas cieszyło. Do końca przerwy miałyśmy jakieś dwadzieścia minut. Na szybkie mówienie, dotykanie się i śmianie. Zawsze takie zalatane teraz mogłyśmy się pocieszyć tą nagle zdobytą obecnością. Iza nie była w jury, ale co chwila podchodziła, żeby opowiedzieć jakąś historię.

- Wiecie, co mi Jasek rano dzisiaj powiedział? Mamusiu, mnie się dzisiaj śniły motylki! A wiesz, co się śniło Krzysiovi? Chmurki, słoneczko i niebo. A skąd ty możesz wiedzieć, co Krzysio śni, przecież jeszcze nie mówi. No, przecież on trzyma głowę przy mojej, dotykamy się głowami, jak śpimy.

Dominiki absolutnie to nie zdziwiło:

- To jest oczywiste. Ja też, jak śpię z synkiem, wyłapuję jego sny. O szkole, o miasteczkach z klocków lego. Czasem, jak się mocno przytulę, wpadam do snów męża.

Śmiałyśmy się rozbawione. Iza kontynuowała:

- A potem Jasek się pyta, co tobie się mamusiu śniło? Nic, nie pamiętam, nic mi się nie śniło. To nie przyszła do ciebie senna wróżka? Trzeba ją wołać, to przyjdzie.

Domi dużo śni. Jej sny są też kojące:

- Mnie nawiedza senna wróżka, kiedy jest mi źle, wpadam w jakieś depresyjne stany. Wtedy przysłała mi moją ukochaną babcie, która umarła, gdy miałam osiemnaście lat. Babcia podchodzi do mnie i delikatnie głaszcze mnie po ramieniu, znikają wówczas wszystkie smutki.

Teraz ja, przecież też mam sny:

- Przeptywanie snów i mnie się zdarza. Kiedyś spałam w łóżku mojego syna i synowej, gdy wyjechali do Rzymu, pilnowałam im domu i psa. Miałam wtedy obłądne, kosmiczne sny, jakich nigdy nie miałam. Leciłam przez gwiazdne mgławice, przenikałam rozmaite wymiary. Pamiętam ogromne hale, w których czały się niezmiernie moce. Dopytałam go po powrocie. To był sen syna.

Pozanurzałyśmy się w swoich snach.

- Ja tylko snów mojego kota nie lubię. Ten grubas się czasem tak uwali na mnie, a ja muszę się zmagać z jego marzeniami. Bo śnią mi się wtedy tłuste szczury, smakowite, pyszne, ślinka mi do nich leci. W moich snach czasem widzę tak tort, albo ciasteczka, szczególnie wtedy, gdy jestem na diecie. Ale te szczury, na które mam taki apetyt w snach. Faj, z tym kotem.

20.04.2013

*Publikujemy fragment prozy jednej z redaktorek „Miesięcznika”, zaprezentowany podczas premiery pierwszego numeru pisma.

Alicja Tupieka-Buszmak

Missa Universitas – światowe prawykonanie

1 czerwca 2014 roku w Olsztynie odbyło się światowe prawykonanie *Missa Universitas* Lucjana Marzewskiego, mszy na mezzosopran, chór mieszany i organy, dedykowanej społeczności akademickiej z okazji XV-lecia Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Historia tej dostojnej i wyrafinowanej formy muzycznej ma bogatą, wielowiekową tradycję. Narodziny mszy sięgają średniowiecza i techniki chóralu gregoriańskiego. Z czasem stała się ona wielogłosową formą wokalną, a następnie formą wokarno-instrumentalną o cyklicznej budowie. Do najwybitniejszych przedstawicieli gatunku w poszczególnych epokach należeli: G. P. Palestrina i O. di Lasso (renesans), J. S. Bach (barok), W. A. Mozart, J. Haydn, G. Rossini (klasycyzm), F. Schubert i F. List (romantyzm), a w Polsce F. Nowowiejski, J. Maklakiewicz czy J. Świder. Po II Soborze Watykańskim w 1965 roku, zainteresowania tą formą muzyczną jednak drastycznie zmalały, dlatego fakt stworzenia *Missa Universitas* należy ocenić za tym bardziej cenny i oryginalny.

W świecie kultury przyjęło się tworzenie przez artystów dzieł na specjalne okazje i dedykowanie ich szczególnym wydarzeniom historycznym. Tak było też i tym razem, gdy olsztyńscy słuchacze mieli niezwykłą – być może jedyną w swoim rodzaju – okazję zostać w pewnym sensie częścią tej chwalebnej historii. W okresie tworzenia Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie prof. Lucjan Marzewski, ówczesny dziekan Wydziału Artystycznego WSP w Olsztynie, jak sam przyznaje, miał zaszczyt uczestniczyć w licznych dyskusjach naukowców i polityków, prowadzących do wypracowywania kształtu i ostatecznych decyzji nt. powołania przyszłego uniwersytetu. Dlatego też dla uczczenia XV-lecia istnienia uczelni postanowił skomponować dużą, podkreślającą wagę tego wydarzenia formę muzyczną i podarować ją olsztyńskiej Alma Mater. Wybór padł na jedną z najbardziej dostojnych i doskonałych form w dziejach historii muzyki. Była nią msza, która po konsultacji z Rektorem – prof. dr. hab. Ryszardem Góreckim, została wpleciona w liturgię uroczystej oprawy nabożeństwa odprawionego w okresie obchodów uniwersyteckiego jubileuszu w Bazylice Konkatedralnej pod wezwaniem św. Jakuba w Olsztynie. *Missa Universitas* została napisana do tekstu łacińskiego w grudniu 2013 r.

Dzieło składa się z klasycznego cyklu mszalnego – *missa solemnis*, utrzymanego według porządku sześciu stałych części mszalnych reprezentujących tradycję *ordinarium missae*. Układ poszczególnych części mszy został opracowany na zasadzie kontrastu.

I część utworu, *Kyrie* (*Andante religioso*), symbolizuje jedną z najważniejszych formuł modlitewnych w liturgii kościoła chrześcijańskiego

„Panie zmiłuj się nad nami” i została skomponowana na pełen przewidziany zespół wykonawców: mezzosopran, chór i organy.

II część kompozycji, *Gloria* (*Allegro con anima*), zawiera wezwanie śpiewu liturgicznego „Chwała na wysokościach Bogu”, które zostało powierzone mezzosopranistce i zespołowi chóralnemu.

III część mszy, *Credo* (*Andante con espressivo*), stanowi wyznanie wiary „Wierzę w jednego Boga”, jest najbardziej rozbudowaną częścią dzieła, a wykonuje ją pełen zespół artystów.

IV część dzieła, *Sanctus* (*Allegretto*), symbolizuje wspólny śpiew wiernych „Święty, Święty, Święty, Pan Bóg Zastępów...” w łacińskiej liturgii mszy świętej. Ta część utworu przeznaczona jest do wykonania przez głos solowy, chór i organy.

V część kompozycji, *Benedictus* (*Andante*), to witalna pieśń dziękczynna łącząca się z *Benedictus*, o słowach „Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie”. Kompozytor powierzył ją do wykonania wokalistce z towarzyszeniem organów.

VI część utworu, *Agnus Dei* (*Lento religioso*), to zawołanie ludu bżego tuż przed Komunią świętą: „Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata”, które symbolizuje przyjęcie najświętszej ofiary Jezusa Chrystusa na krzyżu. Tę część utworu wykonuje chór z towarzyszeniem instrumentu.

Główne zadania muzyczne *Missa Universitas* zostały powierzone chórowi mieszanemu i mezzosopranistce. Natomiast organy realizowały podstawę harmoniczną, a poprzez figuracyjne potraktowanie dźwięków także warstwę kolorystyczno-brzmieniową. W mszy zostały zastosowane specyficzne, niezwykle oryginalnie dobrane środki artystycznego wyrazu wykorzystujące, m.in. różnorodne skale muzyczne, w tym skale premodalne, pentagonalne i modalno-tonalne. Przywołują one dość archaiczną, a niekiedy wręcz ascetyczną w swoim wyrazie stylistykę sakralną. Jednak kompozycja nie sprawia wrażenia surowej i monumentalnej. W połączeniu ze współczesnymi środkami wyrazu artystycznego, takimi jak: liczne dysonanse, politonalności, melodeklamacje oraz zastosowane w partiach chóralnych, czy w głosie solistki, recitanda, w których kompozytor doskonale się odnajduje, dzieło nabiera świeżego, witalnego charakteru. Dzięki temu wydaje się bliskie estetycznej percepcji wyczulonych na dźwięk i harmonię melomanów. Ciekawe rozwiązania kompozytorskie w postaci atonalnych łączników instrumentalnych dopełniają całości i wpływają na ukonstytuowanie się nowej jakości artystycznej. Melika, zmienna harmonika i dynamika oraz zrytmizowane słowa składają się na sakralną dramaturgię, lirykę i modlitewną kontemplację pełnego cyklu mszalnego.

Sylvia Białecka

Tramwaj zwany promowaniem

Rok 1947. Tramwaj wdzierając się przemocą do sztuki. Nie jest już tylko rekwizytem, środkiem lokomocji, elementem scenografii – jest medium treści metaforycznych, kierunkowskazem do ukrytych sensów, zapowiedzią przeznaczenia. Od tego czasu sztuka i komunikacja popełniają kolejne mezalianse, małżeństwa bez intercyzy i rozdzielności majątkowej. Stare, odziane w czerń i szarość matrony – gmachy teatrów, galerii, oper i bibliotek – patrzą na to z nieukrywaniem obrzydzeniem. Jest coraz... ciekawiej.

Kilkadziesiąt lat później świat wygląda zupełnie inaczej. Kultura musi nadążyć, więc przesiada się do samochodu, tramwaju, autobusu, pociągu, metra. Nie jeździ już pańską dorożką – czasy plantatorów minęły, Blanche musi odejść, a sztuka wykorzystuje każdą szansę, by zaistnieć. „Wyróżnij się, albo zgin” – mówi nowy reżyser spektaklu. Więc się wyróżnia. Jest szybka i nie odpuszcza ani na krok.

Kopenhaga. 2 maja 2011 r. Godzina 14:32:22 (dokładnie zarejestrowana przez kamerę). Na środku dworca kolejowego staje Jesper Nordin, dyrygent orkiestry symfonicznej kopenhaskiej filharmonii. Staje, zdejmując marynarkę, nie ma gdzie jej schować, więc zwiija ją

O sztuce wykonawczej i przejmująco żarliwej w swej religijności wymowie utworu, który doskonale oddaje istotę tej formy muzycznej, zdecydowali również wykonawcy: głęboki, nasycony mocnym i szlachetnym brzmieniem głos olsztyńskiej śpiewaczki – dr Agnieszki Dziewulskiej-Pawłowskiej, znakomicie przygotowany Chór „Ars Vocale” Instytutu Muzyki pod kierunkiem dr hab. Katarzyny Bojaruniec, prof. UWM, oraz z wielkim wyczuciem realizująca partię organową mgr Ewa Wankiewicz. Prawykonanie dzieła odbyło się z udziałem samego kompozytora, prof. zw. Lucjana Marzewskiego, JM Rektora, Collegium Rektorskiego, członków Senatu UWM w Olsztynie, a także licznie zgromadzonych wiernych. Mszę świętą celebrował arcybiskup ks. dr Wojciech Ziemia, Metropolita Warmiński, a całością dyrygowała prof. Katarzyna Bojaruniec. Słuchacze docenili zarówno kunszt artystyczny dzieła, jego wykonanie, jak i uroczystą okazję, dla której zebrali się, uczestnicząc w tym wydarzeniu.

i kładzie na plecaku, który leży na posadzce między jego stopami. Podaje tempo. Trochę przeszkadza mu hałas – w filharmonii zwykle jest cicho w takiej chwili, tu nikt nie zwraca na niego uwagi, dworzec nie zamiera w bezruchu – ale werbel jednak zaczyna wybijać rytm. Po chwili do muzyków dołącza flecistka, wygrywając charakterystyczny temat *Bolero* Maurice’a Ravela. Kolejni artyści rozkładają pulpity, wyciągają instrumenty, wchodzą do gry. Publiczność zdejmując słuchawki z uszu, wyciąga palce i komórki. Jest *flash mob*. Nagły tłum, nagła orkiestra, narastająca fala brzmienia i emocji, która porывa ludzi – z dworca wprost do filharmonii.

Gdańsk. Styczeń 2013 r. Wsiadam do tramwaju, a tam... czerwone siatki ze sznurka rodem z PRL-u. Ażurowe – żeby było widać, co jest w środku. A w środku książki. Nie chce czytelnik do biblioteki – dopadnie go biblioteka między przystankami, w rozpędzonym tramwaju sypiącym iskry. Byle tylko nie posypały się głowy jak w... Ale nie, to już sobie sami doczytacie, najlepiej w tramwaju.

Warszawa-Kraków. Pociąg PKP InterCity. Duszno i szybko. Mała, niebieska książeczka zachęca: „Weź i poczytaj”. Biorę. Jadę polskim pociągiem przez landszafty niemieckiej prozy. Konduktor: Goethe-Institut. Tym razem łaskawy.

Sztokholm – jeszcze nie byłam. Stacje metra wyglądają tam jak gigantyczne instalacje artystyczne. W cenie biletu – wizyta w stusalowej galerii z dziełami ponad stu pięćdziesięciu autorów. Wchodzisz na przykład do czerwonej groty, pod baldachimowy sufit, a na ścianach rzędy wbitych w skałę gwoździ. Malunki naskalne są wyrzutem sumienia. Żle spisaliśmy się, czyniąc sobie ziemię poddaną.

Bydgoszcz. Tramwaj zjeżdża z ronda Jagiellonów. W głośnikach rozbrzmiewa uwertura do *Wilhelma Tella* Rossiniego i wiolonczelowo przekonuje, by całości dzieła wysłuchać w Opera Nova. Tymczasem we Wrocławiu chcą śpiewających przystanków. Niestety, tylko na Prima Aprilis.

Luckenwalde. Rok 2008. Do starego budynku dworca wprowadza się miejska biblioteka. To ona tu będzie teraz lokomotywą. Nowoczesna, medialna, rozpędzona. Para buch!

Rok 2014. W warszawskim metrze przeciąg i... „pociąg do sztuki”. W związku komunikacji i sztuki nadal iskrzy. Młoda sztuka wchodzi ostrym klinem w publiczną przestrzeń – na śródmiejskich dworcach podziwiać można prace debiutujących artystów. Sztuka prowadzi nas do podziemi.

Muzyka zatacza krąg, czyli CircleSongs 2014*

Wyobraźmy sobie koncert chóru w filharmonii. Po trzecim dzwonku na scenę wchodzi bosy mężczyzna, nucąc pod nosem wymyśloną właśnie melodię. Za nim – idzie i śpiewa – ponad osiemdziesięciu chórzystów. Wszyscy wyglądają jakoś inaczej – większość bardzo niepełnoletnia, dziewczyny nie mają standardowych, ujednoliconych mundurków chóralnych, męski skład bez smoków. Królują jeansy, kolorowe bawełniane koszulki i trampki, jest nawet czapka z daszkiem. Śpiewają też jakoś inaczej. Akompaniuje pan grający na wielu bębenkach, wśród solistów pani z dredem. No i nie mają nut. Ten bosy wymyśla krótkie tematy, które zapętlone powtarzają poszczególne głosy, a po pierwszym utworze przyznaje, że nie wie do końca, co się podczas tego koncertu wydarzy. Bo jest to koncert chóralnych improwizacji.

Niemożliwe? A jednak wydarzyło się naprawdę – 14 września 2014 r. w olsztyńskiej filharmonii. Ten bosy to nie byle kto – nazywa się Roger Treece i jest amerykańskim muzykiem, aranżerem i kompozytorem, laureatem Nagrody Grammy. Współpracuje z artystami światowej sławy, m.in. z Bobbym McFerrinem, z którym stworzył fenomenalną płytę *VOCAbuLarieS*. Do Olsztyna przyjechał już po raz drugi na zaproszenie chóru młodzieżowego Collegium Juvenum i zespołu wokalnego ProForma. Koncert improwizacji chóralnych był finałem Warsztatów Muzycznych CircleSongs 2014. Uczestnicy warsztatów przez trzy dni obcowali z formą *circle songs*, czyli śpiewo-kręgami (tłumaczenie zawdzięczamy Marcinowi Wawrukowi, dyrygentowi ProFormy i niestrudzonemu popularyzatorowi *circle songs* na gruncie olsztyńskim). Obcowanie to było przyjemne, ale i wymagające. Trzeba było porzucić stare chóralne przyzwyczajenia, odłożyć partyturę i wypłynąć na szerokie wody improwizacji. Każdy z chórzystów



mógł spróbować swoich sił jako kompozytor i dyrygent – wymyślać własne motywy i przez chwilę kierować chórem. Roger Treece wprowadził nas, uczestników warsztatów, w tajniki śpiewo-kręgów, pokazał, jak dużo radości daje swobodna improwizacja, jak ciekawe miejsca w muzyce można dzięki niej odkryć. Przekonaliśmy się, że każdy z nas może bawić się śpiewem i tworzyć własne utwory. Nie trzeba znać nut, zasad harmonii ani podstaw komponowania – wystarczy wyobraźnia, muzykalność i odrobina odwagi (oczywiście im bardziej muzykalni jesteśmy, tym nasze „cyrkle” są lepsze, ciekawsze, bardziej zwiariowane).

Circle songs to forma bardzo ciekawa – pozwala na radosne, spontaniczne tworzenie muzyki, stwarza okazję do lepszej komunikacji z publicznością, umożliwia jej aktywny udział w koncercie, ale i wymaga od wykonawców uwagi, współpracy i odpowiedzialności. Podczas koncertu zespół jest jednym organizmem, pulsującym według wspólnego rytmu, zatopionym w tym samym emocjonalnym kontekście. Dyrygent wyznacza kierunek, którym wszyscy wspólnie podążamy. Publiczność nie jest tu biernym odbiorcą – może reagować, sugerować pomysły, a nawet przerodzić się w wykonawcę – ale musi zrezygnować z utartych schematów i wyobrażeń o koncercie chóralnym. Przez kilkadziesiąt minut podział na artystów i publiczność, na scenę i widownię przestaje być aktualny. Dzięki spotkaniu z Rogerem Treecem zatoczyliśmy krąg i wróciliśmy do miejsca, w którym muzyka była naturalnym sposobem wyrażania uczuć i pielęgnowania poczucia wspólnoty.

Sylwia Białecka

* Projekt, w ramach którego odbyły się warsztaty i koncert, został dofinansowany przez Urząd Miasta Olsztyna.

Rafał Radzymiński

Klasyki i inne wybryki

Nie trzeba być samochodziarzem, by z ciekawości zatrzymać się przy samochodzie zabytkowym. Nie trzeba być też majątnym, by kupić takie auto. Ale trzeba coś do niego czuć, by nim jeździć. Co my czujemy? Nasze żony, matki i kochanki wiedzą, że prawdziwa miłość stoi w garażu. Może to bolesne wyznanie, ale gdyby zagłębić się w psychikę pasjonatów klasycznych pojazdów, okaże się, że wszyscy mamy coś z dziecięcej fascynacji jeżdżącą zabawką. Trwonimy na nie pieniądze, często nawet te, których nie mamy. Oddajemy im swój wolny czas, o który dzisiaj tak trudno. Nie ich narażamy na szwank i cackamy się jak z dzieckiem w gorączce.

Jest to proste do wytłumaczenia, choć trudne czasem do zrozumienia: te klasyczne samochody są piękne. Wystarczy, że któryś z nas wyjedzie nim w miasto i choć na chwilę zaparkuje w zatłoczonej ulicy. Sylwetka klasyka, z tym wąskim i niewysokim nadwoziem, na subtelnych kołach, z połyskującym z daleka chromem, wybija się ponad wszystko, co je otacza.

Auta klasyczne powstały w wyniku geniuszu pasjonatów. Rodziły się w garażach i manufakturach. Z prawdziwych materiałów, metalu, drewna i skóry. Jak one pięknie się starzeją! Mają swój urok i wypracowany zapach. Z pewnością powstawały w trudzie, ale starannie, by przetrwały – niczym meble i obrazy – długie lata.

Nie przejmowano się normami i ograniczeniami. Jeśli stylistą zaprojektował piękny zderzak, lampę czy detale, żaden księgowy, ergonom czy inżynier od bezpieczeństwa nie interweniował.

Jazda starociem autentycznie przenosi w czasie. Z dala od zadywanego codziennego tempa i wygodnictwa. Z za cienkiej kierownicy świat biegnie nieco inaczej. Łapiasz się na tym, że nagle przestajesz się spieszyć. Czujesz wieloma zmysłami, że auta tworzone kiedyś do przyjemnie spędzanej podróży. Choć o jego doskonałości, w kontekście dzisiejszego technologicznego dobrobytu, nie było jeszcze mowy.

Tu można uczyć się szoferskiego rzemiosła pełnymi garściami. W jeździe trzeba pilnować wszelakich wskaźników (czy prądnica dostatecznie łąduje i czy motor trzyma wymagane ciśnienie), wachać w trasie podejrzane zapachy (na pewno coś skądś skapnęło), pomyśleć, czy kalamitką nie zapomnieliśmy przesmarować któregoś punktu w zawieszaniu i czy gaźniki pracują na dobrym składzie mieszanki.

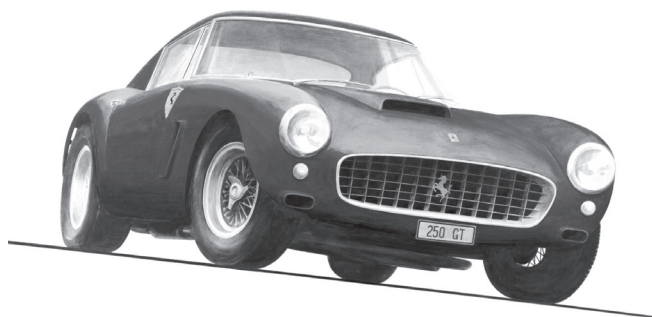
Kim jesteś? W maju 2012 r. grupa olsztyńskich entuzjastów powołała do życia społeczność skupiającą pasjonatów zabytkowej motoryzacji. Nazwaliśmy się „Piękne Klasyki na Warmii”. Pod koniec 2013 r. przystąpiliśmy, ratując od zapomnienia, do najstarszego ruchu automobilowego w regionie – Olsztyńskiego Klubu Motorowego.

Skupiamy już około setki pasjonatów. Stale urozmaicamy profil aktywności. Zwykle spotkania w jednym z publicznych miejsc Olsztyna wzbogaciliśmy wyjazdami za miasto, zlotami, wystawami i rajdami. Te ostatnie są naszym małym świętem. Dajemy starszkom okazję do rozprostowania kości. Bo stary samochód, który nie jeździ, to jak stary człowiek, który nie chodzi. Po stu czy dwustu kilometrach zabawy wiemy, że przepaliliśmy niepotrzebne złogi, prąd prześwidrował zaśniedziałe kable, płyny ustrojowe buzowały pełną parą, opony nabrały rumieńców, a komary na atrapie są tego wszystkiego świadectwem.

Tankujemy je bez umiaru, bo to nas cieszy tak samo, jak rodzica cieszy, kiedy mała pociecha ma apetyt. Będzie zdrowa i będzie miała siłę biegać i bawić się.

Pięknie to wszystko wygląda, ale kulisy tego wszystkiego już nie zawsze. Przyjemnie jest podziwiać wypolerowane cacko na zlocie, ale każdy z nas mógłby pewnie i książkę napisać o drodze, którą do tego stanu pokonało. Tropienie części, których na świecie już tylko ubywa (czytaj: są coraz droższe) to jak film o poszukiwaczach złotej żyły. Zdobycie ostatniej brakującej listewki może okazać się jedną z ważniejszych dat w życiu. W ogóle zacznijmy od tego, że samo znalezienie ciekawego egzemplarza jest już wyzwaniem. A gdzie zarwane wieczory i weekendy w garażu? Więcej: wyszukiwanie fachowców, którzy okazują jeszcze szacunek, zainteresowanie i wiedzę, by podjąć na warsztat klasyka, to jak niekończący się koszmar.

Każdy z nas zostawia pod tą pięknie wymodelowaną blachą kawałek swojego serca, dlatego pierwsze zdanie tego tekstu właśnie tak musiało zabrzmieć.



Il. Antoni Letki



Z teki Tadeusza Burniewicza

